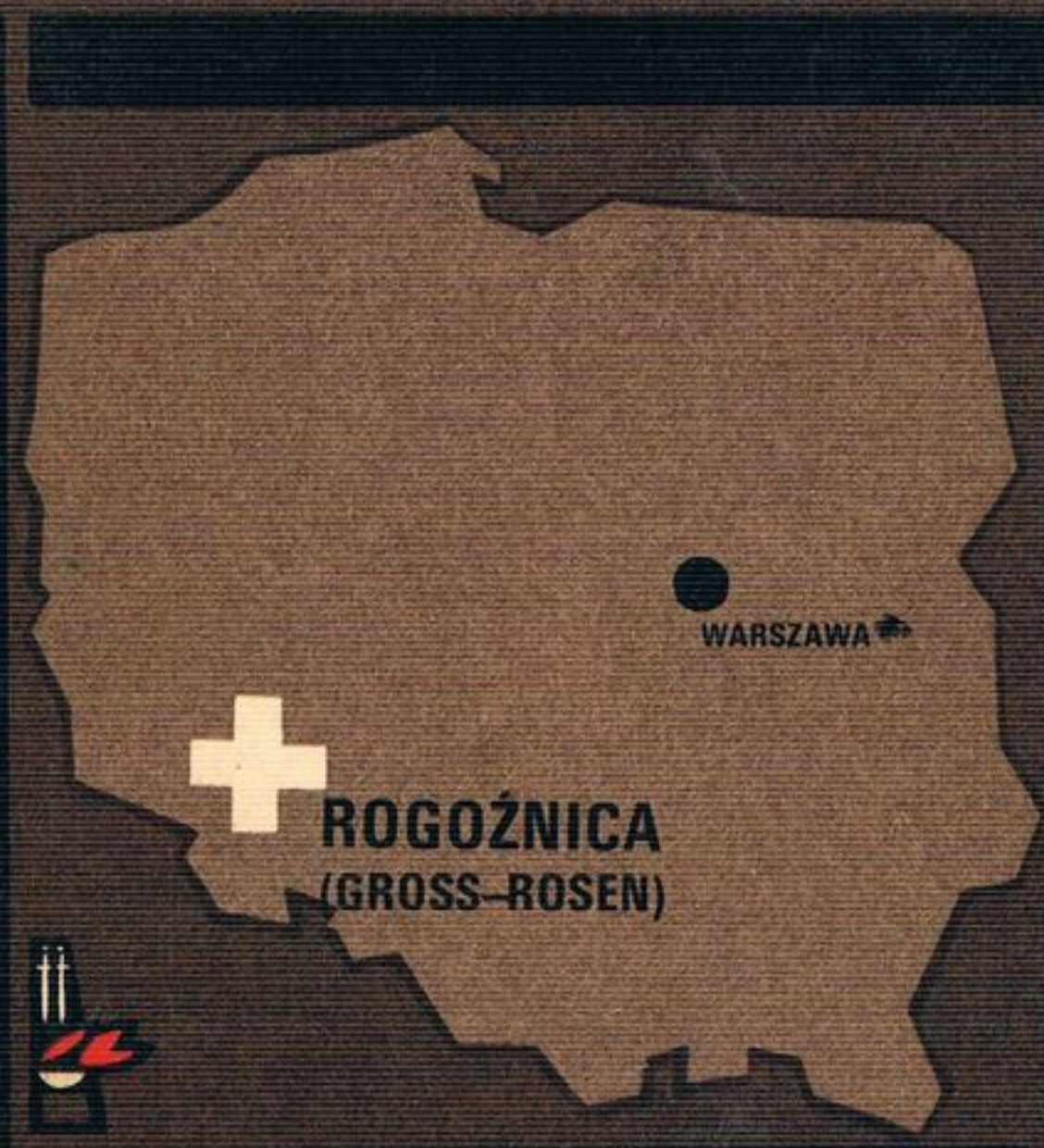


Józef Gielo

# GROSS -ROSEN



**JÓZEF GIELO**

**GROSS - ROSEN**

**KSIĄŻKA i WIEDZA**

**WARSZAWA**

**1970**

# POWSTANIE I ORGANIZACJA OBOZU



**G**ross-Rosen to dawna, niemiecka nazwa polskiej wsi Rogoźnica w województwie wrocławskim. Gross-Rosen pozostanie na mapie obozów koncentracyjnych i zawsze oznaczać będzie miejsce kaźni dziesiątków tysięcy więźniów podbitej Europy.

Pomysł tworzenia miejsc koncentracji i odosobnienia przeciwników politycznych zrodził się w Niemczech w okresie, gdy Hitler zdobywał władzę. Więzienia w tym czasie były tak przepełnione, że dowódca SA w Dreźnie, Edmund Heines, umieścił aresztowanych za płotem z drutu kolczastego. Sposób ten wykorzystali inni i w całych Niemczech powstały dziesiątki obozów, nad którymi sprawowały władzę lokalne instancje SA.

Możliwość tzw. „uwięzienia ochronnego” („Schutzhaft”) legalizowało wydane w dniu 28 II 1933 r. *Rozporządzenie wyjątkowe o ochronie narodu i państwa*. Podstawą aresztowania i bezterminowego zesłania do obozu był „Schutzhaftbefehl”, czyli „rozkaz uwięzienia ochronnego”. Podlegających uwięzieniu ochronnemu nazywano w oficjalnej nomenklaturze „Schutzhäftlingami”.

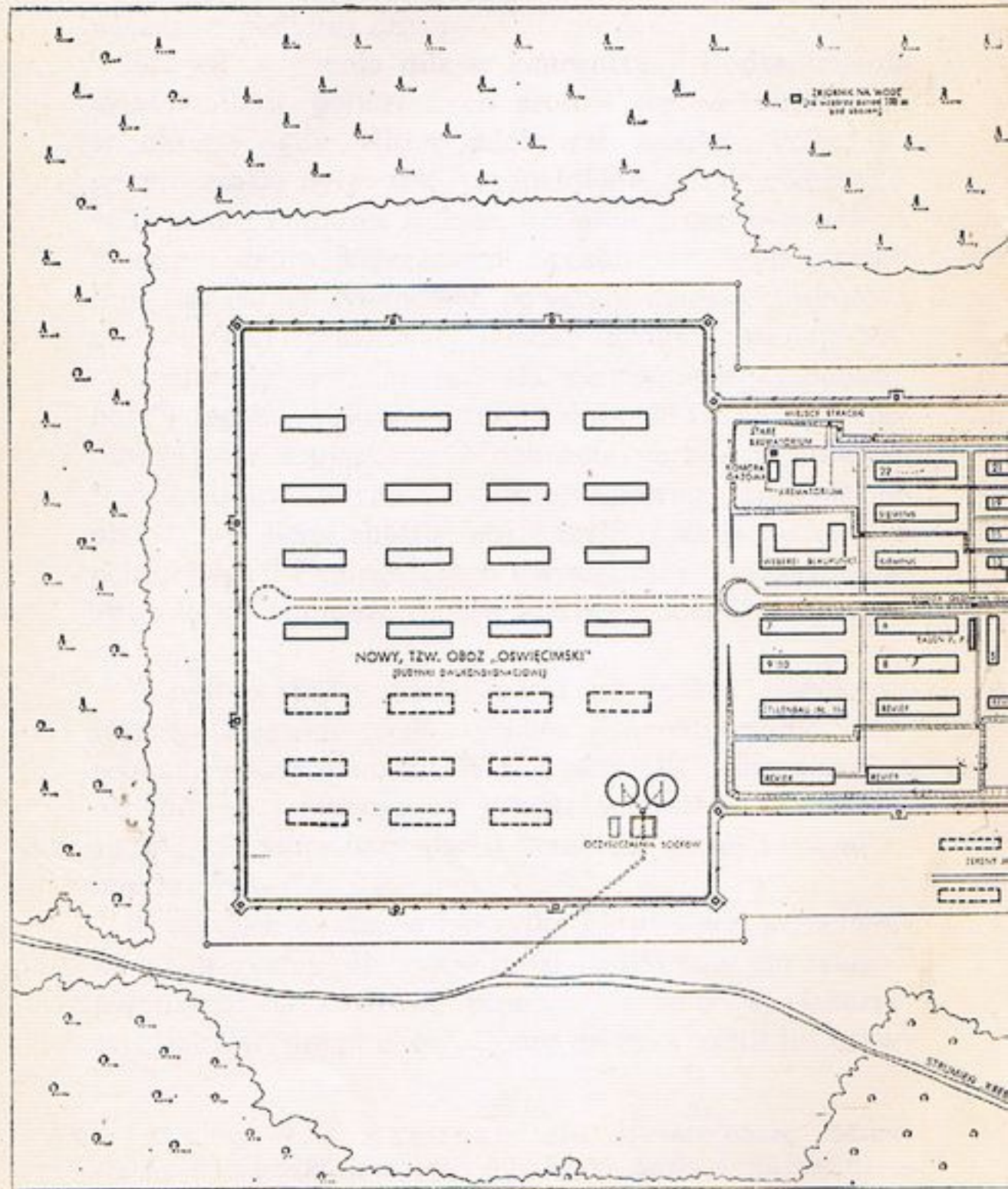
W marcu 1933 z inicjatywy i na rozkaz Hermanna Göringa założono pierwszy obóz koncentracyjny Sachsenhausen-Oranienburg. W rok później Göring pisał: do obozów „[...] musieliśmy przede wszystkim zesłać tysiące funkcjonariuszy partii komunistycznej i socjaldemokratycznej” \*.

W obozach osadzano nie tylko aktywnych przeciwników hitleryzmu, ale także ludzi politycznie nie zaangażowanych: naukowców, pisarzy, prawników, lekarzy, architektów, urzędników. Donos członka partii hitlerow-

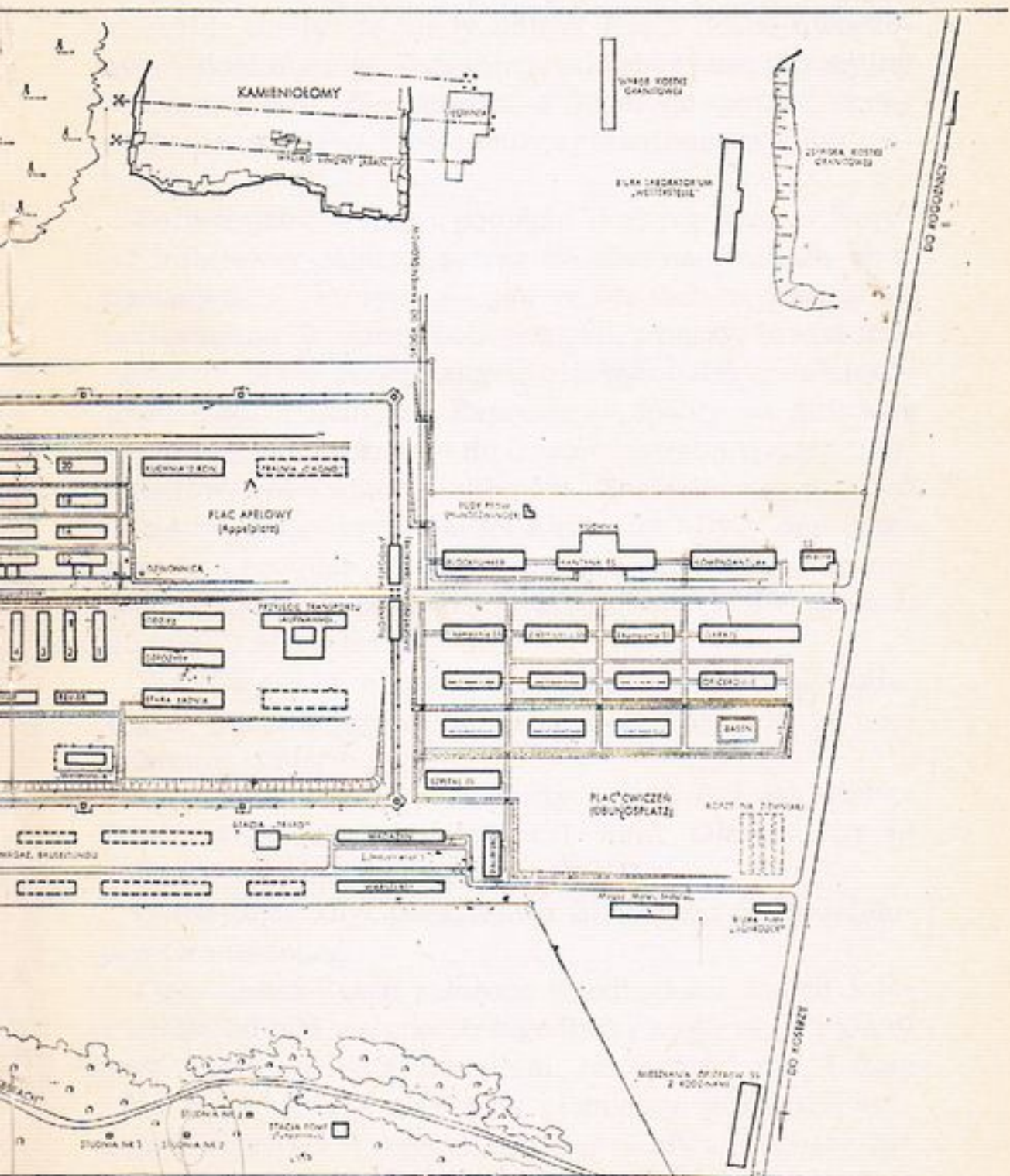
---

\* Cyt. wg: A. J. Kamiński, *Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego*, Poznań 1964, s. 126.

Plan sytuacyjny b. obozu koncentracyjnego „Gross



# "s-Rosen" sporządzony przez Mieczysława Moidawę



skiej do władz był wystarczającym powodem aresztowania kogoś niewygodnego. Tysiące niepewnych jutra więźniów czekało na procesy, sądząc, że mimo wszystko zachowane będą chociaż pozory praworządności. Procesy te nie miały się nigdy odbyć. Rosła liczba uwięzionych i ilość obozów. Zorganizowano obóz koncentracyjny w Dachau koło Monachium, a niedługo potem obozy w Buchenwaldzie, Flossenburgu, Mauthausen i Ravensbrück.

Po wybuchu wojny i podbiciu licznych krajów Europy hitlerowcy założyli szereg obozów na terenach okupowanych, w których — jak w obozach w Rzeszy — umieszczano działaczy politycznych, pisarzy, intelektualistów, a także podejrzanych o jakąkolwiek działalność przeciwko okupantom. Represje te spadły na aktywne środowiska społeczne — do obozów zesłano tysiące inteligentów, robotników, chłopów. Znaleźli się w nich także pospoliccy kryminaliści niemieccy. Były one przeznaczone również do fizycznego unicestwiania grup narodowościowych zaliczanych przez teoretyków rasizmu do tzw. „niższych ras”.

We wszystkich obozach hitlerowskich panowały ludo-bójcze warunki egzystencji, skazujące więźniów na nieuchronną śmierć.

Do obozów kierował Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), administrował nimi Główny Urząd Administracyjno-Gospodarczy (WVHA).

Gross-Rosen był początkowo filią obozu Sachsenhausen-Oranienburg.

Obóz Gross-Rosen założono w odległości dwóch kilometrów od wsi, na zboczu łagodnego wzgórza, porośniętego bujną zielenią, kwiatami żarnowca i róż. Latem 1940 roku cywilni robotnicy niemieccy siekierami wyrabali krzewy i wytyczyli miejsce na dwa pierwsze baraki. Przystępując do ich montażu wiedzieli, że stawiają

budowie obozu przeznaczonego dla wrogów Rzeszy hitlerowskiej, którzy mieli tutaj przybyć, pracować w kamieniołomach granitu, póki starczy sił, i wcześniej czy później umrzeć.

Władcy Niemiec hitlerowskich chcieli wznieść tysiącletnie miasta z granitu. Granitowe jezdnie, krawężniki ulic, chodniki, granitowe okładziny na olbrzymich gmachach, granitowe cokoły pomników. To była — jakże tandetna, a równocześnie groźna — wizja świata, który z woli niemieckiego narodu i jego przywódców miał powstać z pracy i krwi podbitych narodów.

W pobliżu Gross-Rosen leżą pokłady granitu. Występuje on w całym paśmie wzgórz od Strzegomia do Jaworu. Obóz założono w połowie drogi między tymi miastami. Baraki zbudowano równoległe do siebie. Jeden z nich, przeznaczony dla więźniów, otoczono drutem kolczastym. W rogach ogrodzenia postawiono cztery wieżyczki. Na terenie tym oprócz baraku znajdowało się drewniane koryto przeznaczone do mycia i dół z wapnem. W drugim baraku miała zamieszkać esesmańska załoga obozu.

Już pierwszego dnia utopiono w dole z wapnem obywatela polskiego o nie ustalonym nazwisku. Drugą ofiarę rozstrzelano na pobliskim kartoflisku. Potem umierali inni. W jasnym świetle, w słońcu, w ciemnościach, w kamieniołomach.

Pierwszy transport więźniów przybył 2 sierpnia 1940 r. z obozu macierzystego Sachsenhausen-Oranienburg. Było ich stu: 98 Polaków i 2 Niemców. Umieszczono ich w barakach bez prycz, nie było wody, nie było kuchni. Spali pod wspólnymi kocami, myli się w drewnianym korycie i pracowali od świtu do nocy w skwarze sierpniowego słońca. Więźniowie rozbudowywali obóz — stawiali nowe baraki. Głodni, zarośnięci i brudni, wycinali drzewa i krzewy, równali teren, kopali rowy pod



fundamenty. Po paru tygodniach transport ten stopniał do kilkunastu osób.

Z Sachsenhausen-Oranienburg nadchodziły nowe transporty.

Obiekty tzw. „małego obozu” wznoszono do końca maja 1942 r. Więźniowie kuli w skale tarasy, przenosili ziemię, wznosili baraki. Stały wówczas cztery bloki przeznaczone dla więźniów i barak kuchenny. W budowie były dwa baraki szpitalne.

1 czerwca 1941 r. Gross-Rosen został przekształcony w obóz samodzielny. Tego dnia na apelu porannym stanęło 360 więźniów. Nadano im nowe, kolejne numery od 1 do 360. W kilka dni później — 5 czerwca — z Sachsenhausen przybył transport więźniów, których oznaczono numerami 361—675, a 18 czerwca — transport z Dachau. Otrzymał on numery 722—870. W dwa dni potem 120 więźniów wysłano z powrotem do Dachau, ale niedługo przywieziono transport więźniów z Sachsenhausen, których opatrzone numerami 871—1124.

Machina śmierci nabrała rozpędu i pracowała na pełnych obrotach. Więźniowie umierali każdego dnia. Obozowe krematorium dymiło niemal bez przerwy. U uruchomione wiosną 1941 r., spalało jedne zwłoki w ciągu 6—8 minut. Berlińska firma „Kubitz” w specjalnej instrukcji zalecała racjonalną eksploatację urządzenia: po 2 godzinach pracy — godzina przerwy. Esesmani nie przestrzegali tych zaleceń. Wbrew przepisom spalano także po dwa ciała równocześnie. Nadmiernie eksploatowany piec psuł się często i w czasie awarii korzystano z krematorium miejskiego w Legnicy. Przed obozowym krematorium rosła hałda trupów.

W lipcu 1941 r. wybudowano prosektorium przeznaczone do tymczasowego składania ciał. Był to budynek z czerwonej cegły, kryty dachówką. Znajdowały się w nim dwie umywalnie. Dokonywano w nich egzekucji,

a także wystawiano zwłoki więźnia do ewentualnego obejrzenia przez najbliższego członka rodziny. Do 1943 r. prawo to przysługiwało jedynie rodzinom więźniów niemieckich.

Obozem kierowała załoga esesmańska. Na czele jej stał komendant (Schutzhaftlagerführer). Był zwierzchnikiem centrali, a także utworzonych później filii. Przełożonym jego był szef Głównego Urzędu Administracyjno-Gospodarczego SS i Policji w Berlinie, gruppenführer SS (gen.-por.) Oswald Pohl. Praktycznie komendant obozu miał władzę nieograniczoną, był panem życia i śmierci podległych mu więźniów. Poszczególne filie kierowane były przez lagerführerów. W okresie późniejszym, kiedy obozy otrzymały zadanie maksymalnej eksploatacji siły roboczej więźniów, komendanci obozów, osobiście odpowiedzialni za tę sprawę, mniej uwagi poświęcali organizacji życia wewnątrz obozu. Sprawy te, zarówno w centrali, jak w filiach, przeszły w ręce lagerführerów. Pomocnikiem lagerführera był rapportführer w randze starszego podoficera. Rapportführerowi podlegali blockführerzy — młodszy podoficerowie i starsi szeregowcy SS — odpowiedzialni za poszczególne bloki mieszkalne.

Gdy Gross-Rosen był jeszcze filią obozu Sachsenhausen, lagerführerem był hauptsturmführer SS (kpt.) Anton Thumann, który pozostawał na tym stanowisku do marca 1943 r. Po usamodzielnieniu się obozu komendantem został Gideon. Od 1943 r. do końca istnienia obozu funkcję tę pełnił hauptsturmführer SS Johannes Hassenbroeck, awansowany w 1943 r. do stopnia sturmbannführera (mjra). Następcą Thumanna został hauptsturmführer SS Peter Brandenburg, po kilkunastu dniach zwolniony z tego stanowiska. Objął je i pozostał lagerführerem do końca istnienia obozu — obersturmführer SS (por.) Walter Ernstberger.

Administracją i organizacją życia obozowego zajmowały się wydziały zwane Abteilungenami. W Gross-Rosen, podobnie jak w innych obozach, było ich pięć: 1. Kommandantur, 2. Politische Abteilung, 3. Lagerführung, 4. Verwaltung, 5. Sanitätsdienst. Każde z wymienionych biur dzieliło się na szereg komórek organizacyjnych.

Wydziałowi 1 podlegały trzy kompanie wartownicze SS w obozie głównym, a także plutony strażnicze w filiach. W skład komendantury wchodził również korpus oficerski i podoficerski. Kancelaria komendantury sporządzała wykazy posterunków, kierowała transportami, prowadziła szkolenie polityczne, bojowe i przeciwlotnicze, kontrolowała ruch pojazdów w okolicy obozu. Na czele każdej komórki stał oficer lub podoficer SS. Jeden z podoficerów — hundeführer — zajmował się stadem psów policyjnych.

Wydział 2 podlegał bezpośrednio Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Wydział ten dysponował archiwum akt osobowych więźniów, cenzurował korespondencję, prowadził przesłuchania i śledztwa, wyznaczał kary i zlecał wykonywanie wyroków śmierci.

Wydział 3 odgrywał najważniejszą rolę w codziennym życiu więźniów. Zatrudnieni w nim byli oficerowie SS i policja. Zajmowali się oni pilnowaniem porządku i organizacją pracy wewnątrz obozu. Kierował nim rapportführer.

Wydział 4 zajmował się przydziałem pracy dla więźniów, prowadził rozliczenia za ich robocizną, zarządzał kuchnią i kantyną SS, magazynami mundurów i ekwipunku, warsztatami reperacji odzieży. Wydziałowi temu podlegało także krematorium.

Wydziałem 5 kierował lekarz obozowy. Podporządkowane mu były m. in. apteka i szpital esesmański, a także szpital więzienny — Revier.

Prócz wspomnianych wydziałów istniało w obozie kierownictwo budowy — Bauleitung — podległe Urzędowi C w WVHA. Kierownictwo to wznosiło obiekty w obozie i jego filiach, budowało drogi, ogrodzenia itp.

Regulaminy hitlerowskich obozów koncentracyjnych obok załogi esesmańskiej przewidywały istnienie „samorządów więźniarskich”, które miały organizować wewnętrzne życie więźniów. Najwyższą funkcję w tym „samorządzie” sprawował lagerältester — starszy obozu, który przekazywał podległym sobie funkcyjnym zarządzenia i rozkazy komendantury SS. Blockältester — starszy bloku, odpowiedzialny był za porządek, dyscyplinę i skrupulatne wykonywanie przez więźniów poleceń i zarządzeń władz. Stubenältester — starszy izby, pilnował porządku w poszczególnych salach. Stubendienst — dyżurny izby, odpowiadał za czystość sprzętów, wygląd łóżek itp. Pomocnikiem blokowego był pisarz blokowy.

Funkcyjni obozów koncentracyjnych to z nielicznymi wyjątkami specjalnie dobrane typy spod ciemnej gwiazdy, kryminaliści niemieccy, którzy byli nie tylko powolnym narzędziem w ręku esesmanów, lecz także z własnej inicjatywy szykanowali współwięźniów na każdym kroku — okradali ich np. z żywności oraz rzeczy osobistych.

„Hitlerowska teoria posłannictwa narodu niemieckiego — wspomina Stanisław Jagielski — nie straciła nic na żywotności w środowisku ludzi zamkniętych, niejednokrotnie od lat kilkunastu wplątanych w kolczaste druty, które zbudowała wraz z misterną ideą systematyczna ręka współników — «nadludzi». Żar swastyki, ucieleśniony w esesmański bicz, wypalał z nich tylko tę resztę człowieczeństwa, jaką przeciętny Niemiec potrafił w sobie zachować, nie zniszczył jednak niemieckiej psychiki, która kazała im, wyrzuconym poza na-

wias własnego społeczeństwa, uważać się za apostołów germanizmu na arenie koszmarnej wegetacji w obozach koncentracyjnych w stosunku do reszty europejskiej «hołoty»” \*.

Wspólnota językowa i, co najważniejsze, podobna mentalność kryminalistów i esesmanów były płaszczyzną łatwego porozumienia funkcyjnych i władz obozu.

Niezależnie od funkcyjnych wewnątrz obozu istniała osobna hierarchia władzy więziarskiej sprawująca nadzór w czasie pracy. Byli to: oberkapo — nadzorujący pracę całego komanda, kapo — kierujący pracą grupy ludzi, i vorarbeiterzy — przodownicy nadzorujący drużynę roboczą liczącą 10—20 osób. I ci funkcyjni dali się poznać jako nadgorliwi służalcy mocodawców z SS.

Więźniowie dzielili się na kilka kategorii. Trójkąty czerwone nosili więźniowie polityczni, zielone — kryminaliści, czarne — tzw. element społeczny (włóczędzy, Cyganie), fioletowe — badacze Pisma świętego, różowe — zbrodniarze seksualni, niebieskie — bezpieczeństwa; sześcioramienną gwiazdą w żółtym i niebieskim kolorze wyróżniano Żydów; czarne kółko było oznaką kompanii karnej, czerwone — nosili podejrzani o ucieczkę. Narodowość oznaczano literą umieszczoną w trójkącie \*\*.

W początkowym okresie do Gross-Rosen kierowano transporty więźniów z innych obozów koncentracyjnych. Dopiero wiosną 1942 roku zaczęły przybywać transporty wprost z więzień okupowanej Polski i innych krajów Europy.

---

\* St. Jagielski, *Sclavus saltans. Wspomnienia lekarza obozowego*, Warszawa 1946, s. 37.

\*\* B — Belgowie, F — Francuzi, I — Włosi, J — Jugosłowianie, H — Holendrzy, P — Polacy, R — cywilni więźniowie radzieccy, S — Hiszpanie, SU — radzieccy jeńcy wojenni (litery na plecach), T — Czesi, U — Węgrzy.

Na stacjach węzłowych kompletowano składy pociągów, całymi godzinami przetaczano wagony na zwrotnicach tam i z powrotem. Wszystko musiało trafić do miejsca swego przeznaczenia: zrabowane mienie do miast i wsi, węgiel i ruda do hut, cement na umocnienia i schrony, ropa do rafinerii, bydło na rzeź, a przeciwnicy hitleryzmu do krematoriów.

Kryte dachem bydłące wagony, o zakratowanych, czasem zabitych blachą oknach i zadrutowanych drzwiach, jechały dwa, trzy, cztery dni. Więźniom w czasie drogi nie dawano wody i nie wypuszczano ich na zewnątrz. Szczęśliwcy, którzy stali bliżej ścian, zlizywali językami wodę skroploną na okuciach wagonu i deskach. Potrzeby fizjologiczne wszyscy załatwiali na miejscu — pierwszego dnia w rogu wagonu, a potem tam, gdzie kto stał. Powietrze było tak zepsute, a więźniowie tak zmęczeni i zmalretowani, że nikt się niczemu nie dziwił. Mijali wsie i miasta, dudniące mosty i tunele, aż wreszcie pociąg stawał i otwierały się szarpnięte z zewnątrz drzwi. Wsiadali na małej, wiejskiej stacyjce. Już w drzwiach wagonu sypały się na plecy pierwsze ciosy kolb i batów. Esesmani z rozszczekаныmi psami na smyczach, z karabinami gotowymi do strzału lub z bykowcami w ręku formowali transport w piątkową kolumnę. Zmęczeni, pobici, słaniający się na nogach więźniowie musieli iść szybkim marszem w kierunku wsi i obozu. Dla wielu z nich była to ostatnia droga.

Brudni, wyczerpani podróżą i brakiem snu, z popękanymi do krwi ustami, zataczający się z głodu i pragnienia, znaleźli się nagle w pełnym słońcu, między szpalerami zieleni, na wiejskiej drodze, w scenerii przypominającej raczej sen niż rzeczywistość. Upadali na drodze, podnosili się na rękach, by znowu — już bez sił — osunąć się pod buty esesmanów. Esesmani strzelali do tych, którzy nie mogli wytrzymać tempa marszu.

„Prowadzono nas tak szybko tylko po to, aby nas jak najwięcej odpadło i aby mieć pretekst do bicia i znęcania się. Wszystko to razem przerażało nas, podobnie jak przeraża ludzi nagłe trzęsienie ziemi. Waliły się w gruzy wszelkie nasze pojęcia o zasadach postępowania ludzi z ludźmi. Weszliśmy w świat, w którym nie obowiązywała ani moralność, ani logika, ani tak zwana «uczciwa gra»” \*.

Chłopi niemieccy patrzyli wilkiem, kobiety niemieckie pluły w stronę więźniów, a ich nieletnie potomstwo rzucało kamieniami. „Eskorta wcale w tym nie przeszkadzała, esesmani popisują się przed niewiastami swoją krzepą i mocą. Na wyżartych gębach umundurowanych oprawców pojawiają się miny herosów, którzy ocalili ojczyznę. Biją nas bykowcami po plecach ze zdwojoną siłą, dla popisu, szukają uznania w oczach podnieconych dziewcząt” \*\*.

W licznych transportach szli do obozu ludzie różnych środowisk i zawodów. Szedł nauczyciel z Tarnowa Berszakiewicz i jego przyjaciel z Jarosławia Eille. Szedł Kasper Ciołkosz, sześćdziesięcioośmioletni działacz PPS, i adwokat Janiga. Szedł generał Ledóchowski i generał Roja, książę Krzysztof Radziwiłł i hrabia Wojciech Dzeduszycki, przeor ojców jezuitów Rzymelko i profesor Andrzej Waksmundzki. Szedł jeden z najstarszych więźniów hitleryzmu, socjalista Raspotnik, i badacz Pisma świętego Richter. Szli politycy z czasów Republiki Weimarskiej: prezydent Reichstagu — Löbe, poseł Brode i radca stanu Neweman i wielu, wielu innych.

Po kamieniach tej drogi szli Austriacy, Belgowie, Białorusini, Bułgarzy, Cyganie i Czesi, Słowacy, Duńczycy i Francuzi, Grecy, Holendrzy, Jugosłowianie

---

\* A. Gładysz, *Obóz śmierci*, Łódź 1964, s. 63.

\*\* Tamże.

i Luksemburczycy, Niemcy, Polacy i Rumuni, Węgrzy, Włosi i Rosjanie, Ukraińcy i Łotysze, Litwini, Estońscy i Żydzi.

Transporty mijały bramę obozu z napisem „Arbeit macht frei” i emblematem trupiej czaszki. Czekają na nie dwa szpalery esesmanów z kijami, batami i karabinami w ręku.

Wśród bicia, kopania i krzyków zapędzano przybyłych na plac apelowy. Tam ich kilkakrotnie liczone. Jeżeli zgadzała się suma uduszonych w wagonach, zabitych na drodze od stacji do obozu i stojących na placu, komendantura kwitowała przyjęcie transportu i więźniowie przechodzili w ręce władz obozu.

Teraz rozbierali się do naga i zapędzano wszystkich do strzyżenia i golenia, a potem do kąpieli. Kąpiel odbywała się w zbiorniku żelaznym o wymiarach 1,60×2,0×1,70 m, w nie zmienianej wodzie, z domieszką gryzącego skórę lizolu. Do zbiornika wchodziło 6—10 osób równocześnie. Wokół basenu stali esesmani z bronią gotową do strzału, a funkcyjni, kryminaliści niemieccy, smagali bykowcami i tłukli kijami. W czasie kąpieli często topiono więźniów.

Później znów ustawiano nagich więźniów na placu. Teraz esesmani chodzili wzdłuż szeregów i wyciągali, kogo popadło, z szyku. Bili po twarzy, kopali w podbrzusza, pięściami tłukli w żołądki. Po około trzech godzinach wydawano ubrania. Każdy otrzymywał starą koszulę, drewniaki, spodnie, bluzę i czapkę w biało-niebieskie pasy. Ubranie takie noszono od maja do połowy października. Jesienią więźniowie otrzymywali kalesony, onuce i płaszcze. Odzież była cienka, przewiewna i nie chroniła w sposób dostateczny przed zimnem. Drewniane obuwie boleśnie raniło nogi. Po rozdaniu odzieży znów sporządzano listę więźniów i wydawano blaszki na sznurkach z wytłoczonym numerem. Od



tego momentu więźniów nie używał nazwiska i imienia. Na bluzach i spodniach naszywano również numery, trójkąty i litery oznaczające narodowość. Przed umundurowanym transportem stawał blockführer i wygłaszał dłuższą przemowę, w której zapewniał więźniów, że wszyscy tracą tu życie, a popiołem z ich ciał użyźni się ziemię. Po przemówieniu — w początkowym okresie — więźniów fotografowano.

Wreszcie wydawano pierwszy posiłek: pół litra wywaru z brukwi i 20 dkg chleba. Więźniowie jedli na stojąco. Ponieważ łyżek nie dawano, pili wprost z misek, a jeśli trafił się kawałek brukwi — brali go palcami.

„Później pędzono więźniów na tzw. «Zugangsblock». Takim blokiem dla «Zugangu» był w Gross-Rosen blok nr 9. Blok ten, obliczony normalnie na 300 ludzi, musiał pomieścić 900, a nawet ponad 1000 ludzi. Trudno było w tych warunkach o miejsce do stania, nie mówiąc o siedzeniu lub leżeniu. Kładli się, zmaltretowani, pokotem” \*.

Na dwóch dawano jeden brudny koc. Układali się na ziemi ściśnięci do tego stopnia, że tylko na komendę mogli przekręcić się na drugi bok. Zapadała nocna cisza. Wielu zmęczonych do ostatnich granic zasypiało natychmiast, ale niektórzy długo jeszcze patrzyli w szyby okien oświetlone reflektorami z wież strażniczych.

O świcie gwałtowne bicie w gong budziło więźniów. Po uprzątnięciu sali wszyscy, rozebrani do pasa, biegli do koryta z wodą, aby się umyć. Trzysta osób myje się bez mydła, w tej samej wodzie. Są chorzy i owrzodzeni. Nikt nie ma ręcznika. Wszyscy wycierają się koszulami, a potem wkładają je na siebie i biegną na śniadanie.

---

\* Relacja Romana Kolbera w Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. 69.

Każdy dostaje pół litra wodnistej cieczy nazywanej zupą. Po wypiciu śmierdzącego wrzątku ludzie w tej samej wodzie, w której się myli, płuczą miski. Na placu apelowym stają piątkami w karnych szeregach. Odbywa się sprawdzanie obecności, liczenie, meldowanie. Po apelu „starzy” więźniowie idą do pracy, a nowo przybyli na musztrę. Wracają do baraku. Przychodzą blockführer i lagerältester. Pytają o zawód, wiek, narodowość, powód aresztowania. Wyłowiwszy w ten sposób inteligentów, urządzają im karną musztrę. Ćwiczą z nimi na środku sali przysiady, półprzysiady z wyciągniętymi do przodu rękami. Biją, jeśli uznają, że więzień nie wykonuje jakiegoś ćwiczenia przepisowo.

Po gimnastyce wtajemniczano więźniów w arkana wiedzy o meldowaniu i oddawaniu honorów. Wiadomo, że w tej dziedzinie nikt Niemcom nie dorówna!

„Inne reguły oddawania czci przełożonym — pisze Gładysz — obowiązywały w bloku, inne pod gołym niebem, inne wtedy, gdy więzień szedł sam lub w luźnej grupie, a inne, gdy maszerował lub stał w zwartym szyku, inne w stosunku do więźniarskich szarż, inne w stosunku do esesmanów, a jeszcze inne wobec oficerów. Uczono nas, kiedy czapkę zdejmować, jak ją trzymać, kiedy stawać na baczność frontem do zwierzchnika, kiedy na skraju ścieżki, frontem do ścieżki i tak dalej” \*.

Wszystkich tych mądrości uczył więźniów blockführer. Kiedy zmęczył się wydawaniem komend, bił tych, którzy nie dość szybko reagowali na rozkazy.

Blockführer przekazywał więźniów pod komendę stubendiensta, który z kolei instruował, jak należy utrzymać porządek w bloku, jak składać w kostkę ubranie, gdzie stawiać buty, jak składać koc, w jaki sposób myć podłogi i sprzęty.

---

\* Gładysz, op. cit., s. 92.

Zmęczonych, pobitych do krwi więźniów brał następnie pod swą komendę lagerältester, który uczył marszu, zwrotów, odliczania, składania meldunków, śpiewu, zdejmowania czapek. Na komendę: „Häftlinge, Mützen ab!”\*, wszyscy równocześnie musieli zdjąć czapki. Przez cały dzień przeprowadzano ćwiczenia, ciągle bijąc i popędzając najsłabszych.

Sen pod zawszonymi kocami nie przynosił ulgi.

Następnego dnia przeglądu grupy więźniów dokonywał sam lagerführer Anton Thumann. Przychodził z psem u nogi i bykowcem w rękę. Jeżeli uznał, że więźniowie nie tak, jak należy, zdjęli czapki z głów, rozlegały się świsty bykowca i głosy komendy. Wielu więźniów traciło przytomność. Tych wyciągano na bok, a reszta ćwiczyła dalej.

Gdy Thumann zaspokoił swoje instynkty, do dzieła przystępowali jego podwładni. I znów przysiadom nie było końca. W końcu kazano wszystkim obracać się w kółko i śpiewać: „Sami nie wiemy, co mamy z sobą robić”.

Wiadomo, jak trudno jest poruszyć słowem wyobraźnię ludzką, szczególnie gdy apeluje się do niej wymową liczb albo gdy ogrom okropności przerasta jej chłonność. Określenie „góra trupów” jest pustym dźwiękiem, ale widok pięciu trumien lub rozjechanego przez samochód człowieka na ulicy wywołuje wstrząsające wrażenie. Powszechnie znane okrucieństwa popełniane na więźniach to zaledwie fragmentaryczny obraz rzeczywistości obozowej. Bytowanie w warunkach, kiedy więźniom ciągle wszystkiego brakowało — oto codzienność obozowa. Życie w zatłoczonym baraku, gdzie powierzchni mieszkalnej wystarczało zaledwie

---

\* Więźniowie, czapki zdjąć!

na to, aby stać, kiedy nie było krzesła czy taboretu, by usiąść, kiedy nie było miejsca przy stole, by choć na krótko oprzeć spracowane ręce, kiedy dosłownie brakowało powietrza do oddychania i wody do picia — takie życie było męczarnią nie do zniesienia. A mimo wszystko trzeba było żyć albo umierać. Innej drogi nie było.

W tych warunkach w każdym ludzkim zbiorowisku zaczyna się walka o byt, przynajmniej o częściowe zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb organizmu. Po przekroczeniu krytycznej granicy wytrzymałości ludzie podejmują walkę o biologiczne trwanie. Walczą za pomocą różnych sposobów o łyżkę jakiegokolwiek strawy, łyk wody, miejsce do spania, o podarty koc, cieplejszy łachman, lepszy but, miejsce przy stole, kawałek bandaża, kroplę lekarstwa. Człowiek człowiekowi, więzień więźniowi staje się powoli mimowolnym wrogiem, który zabiera przestrzeń, powietrze, wodę.

W Gross-Rosen, podobnie jak w innych obozach, władze hitlerowskie nie stworzyły warunków dla nawet najprymitywniejszej egzystencji. Więźniowie gnieździli się w zawsze przepelnionych, przeważnie parterowych barakach. Blok dzielił się na dwa, symetryczne skrzydła: A i B. W każdym skrzydle mieściła się sala dzienna i dalej, w amfiladzie, sypialnia. W sali dziennej stały stoły, stoliki, szafy, łóżko blokowego, żelazny piec, skrzynia na węgiel. Na ścianie obok drzwi umieszczano aktualizowany każdego dnia wykaz więźniów, kije, pejcze i chochle do rozlewania wrzątku z brukwi. W sypialni stały rzędami trzypiętrowe, drewniane prycze, kilka mioteł ze słomy, a nad łóżkiem sztubowego również wisiały bykowce, pejcze i kawałki grubego kabla owinięte drutem. Do 1943 r. rano i wieczorem myto się na placu pod gołym niebem, bez względu na pogodę

i porę roku. Gdy zbudowano wodociąg, umywalnie i ustępy znajdowały się w blokach. Jeden kawałek mydła musiał wystarczyć dla 100 osób.

Codziennie piekło życia obozowego zaczynało się już od uderzenia w gong o godz. 4.30. Trzystu ludzi biegło do umywalki, w której było osiem kranów, trzystu ludzi musiało załatwić potrzeby fizjologiczne w WC, gdzie było sześć sedesów, trzystu ludzi szukało miejsca przy paru niewielkich stołach do jedzenia. Wszędzie panował niesłychany ścisk i tłok.

Wyniszczeni, nie wypoczęci, starzy i nowo przybyli szli do pracy w komandach.

Od początku istnienia obozów próbowano rozwiązać problem przymusowej pracy więźniów. Napotymano różnorodne trudności natury organizacyjnej i ideologicznej, ale w roku 1938 problem rozwiązano definitywnie. W związku z zamiarem gigantycznej przebudowy Berlina i Norymbergi Himmler polecił utworzenie olbrzymiego przedsięwzięcia materiałów budowlanych. Zorganizowano Niemieckie Zakłady Gliny i Kamienia — Deutsche Erd- und Steinwerke, DEST, równocześnie zaś wprowadzono przymus pracy we wszystkich więzieniach Trzeciej Rzeszy. W następnym roku zorganizowano Niemieckie Zakłady Wyposażenia — Deutsche Ausrüstungswerke, DAW. Oba przedsiębiorstwa były własnością SS i podlegały Głównemu Urzędowi Administracyjno-Gospodarczemu SS. Himmler we wrześniu 1940 roku, mówiąc o potrzebach finansowych SS, wskazywał na konieczność zorganizowania przedsiębiorstw gospodarczych i zatrudnienia w nich więźniów.

Zapędzeni do pracy, zaprzęgnięci „jeszcze raz do wielkiej wspólnoty narodowej”, mieli kruszyć kamienie i wypalać cegły, „ażeby Führer mógł znowu wznosić swoje wielkie budowle”. Więźniowie Gross-Rosen

zatrudnieni byli w dwu wielkich nadkomandach pracy. Pierwsze z nich — Oberkommando Steinbruch — pracowało w kamieniołomie przy wydobywaniu i obróbce granitu, drugie — Oberkommando Bauleitung — wznosiło urządzenia i budowle. Obok tych komand w różnych miejscowościach istniały filie zwane obozami pracy.

„ARBEIT MACHT FREI“



**W**Gross-Rosen nie było komór gazowych — tysiące ludzi uśmiercano morderczym tempem pracy, głodem, piekielnie pomyślanym systemem terroru wewnątrzobozowego. Według Oswalda Pohla średnia długość życia więźniów w obozach koncentracyjnych wynosiła 270 dni. Według zgodnych relacji i wiarygodnych obliczeń przeciętna życia w Gross-Rosen wynosiła około 4 miesięcy, a były i takie komanda, w których umierało się po 3—4 tygodniach. Codziennie po apelu formowano grupy robocze. Zimą, gdy świtało, latem o godz. 5.30 kolumny defiladowym krokiem, z odkrytymi głowami i dłońmi przyciśniętymi do bioder, mijały bramę obozu. Setki więźniów szły do kamieniołomu. Za bramą śpiewano idiotyczne piosenki niemieckie. Prawie nikt prócz Niemców nie rozumiał słów, ale śpiewali wszyscy. Szli w stronę wsi wyłożoną granitem drogą. Potem skręcali w lewo i dochodzili do kamieniołomu. Szybko biegli do stanowisk pracy. Kamieniołom ruszał. Puste jeszcze przed kilku minutami sztolnie dudniły suchym stukotem drewniaków, rozbrzmiewały komendami dozorców, zgrzytem maszyn i wyciągów linowych.

Setki wynędzniałych, okrytych szmatami ludzi podejmowało swój codzienny wysiłek, pracę, która miała ich wcześniej czy później doprowadzić do ostatecznego wyczerpania. Pracowali z największym wysiłkiem. Trawieni głodem, doprowadzeni do ruiny psychicznej, ostatkiem sił walczyli o każdą godzinę życia. Obrabiali bloki granitu, łamali kostkę na jezdnię, kuli granitowe krzyże na cmentarze wojskowe, ładowali surowiec i obrobione bloki do wagoników. Największa, licząca około pół tysiąca osób grupa schodziła na dół, w sztolnie kamieniołomu. Zstępowali na coraz niższe tarasy po drewnianych, prawie pionowo ustawionych drabinach. Każdego dnia, szczególnie zimą, kiedy szczeble drabin



były oblodzone, kilku najsłabszych spadało w głąb kamieniołomu.

Wydaje się, że praca w kamieniołomach jest bardzo prosta i nie wymaga specjalnych umiejętności. Długo jednak trzeba się uczyć, by poznać granit, jego składniki i właściwości. Kryształy kwarcu nadają mu twardość, a cieniutkie blaszki miki decydują o kierunku łupliwości. Doświadczeni kamieniarze najpierw badają skałę, bieg pokładów, jednolitość struktury i dopiero potem zabierają się do pracy. Każde uderzenie jest cenne. Granit wymaga rozwagi i precyzji. Do pracy używa się najprostszyc narzędzi. Kamieniarze w drewnianych skrzynkach mają żelazne dłuta zwane szpicami, kliny, ciężki młot i młotek na krótkim trzonku. Za pomocą tych narzędzi łamią skały. Do obróbki oprócz szpica używa się jeszcze tzw. groszkowników i odbijaków. Narzędzia są proste, ale biegłe posługiwanie się nimi wymaga doświadczenia.

Więźniowie kierowani do pracy w kamieniołomach nigdy przedtem nie pracowali w tym zawodzie. Trudności zaczynały się od tego, że nie umieli chodzić po drabinkach. Zasada jest, że w kamieniołomie należy poruszać się powoli, znać skalne występy, uskoki. Więźniów kijami zmuszano do pośpiechu. Dlatego spadali z drabinek, tracili równowagę na tarasach, lecieli w sztolnie na dno urwiska. Przestępstwem jest zmuszanie ludzi do pracy, której wykonywanie grozi śmiercią. Esesmani nie zwracali na to uwagi. Już po kilku godzinach pracy więźniowie mieli poobijane do krwi ręce, obtarte nogi, odpryski granitu w oczach. Nie było czasu na opatrzenie otwartych ran.

Szczególnie uciążliwe było przenoszenie z miejsca na miejsce bloków granitu. Granit jest ciężki. Niewielka kostka waży kilka kilogramów, sześcian o wymiarach jednego metra — ponad tonę. Ostra skała kaleczyła gołe

dłonie. Byli półprzytomni z wysiłku, na plecy ich sypały się kije i przekleństwa dozorców. Nie było drągów ani żadnych urządzeń pomnażających siłę fizyczną człowieka. Dźwigali, aż trzeszczały kości, a oczy wychodziły z orbit. Ci najbardziej wyczerpani, niezdolni do większego wysiłku, w załomach skalnych szukali chwilowego wytchnienia. Esesmani tylko na to czekali. Wynajdywali „opieszalnych sabotażystów” i rozstrzeliwali na miejscu.

Kamieniołomem zarządzał koncern eksploatacji surowców mineralnych DEST. Dyrektorem kamieniołomu był oficer SS. Miał on do pomocy pracowników cywilnych. Więźniów dozorowali kapo, ich pomocnicy i brygadziści. Przemocą fizyczną narzucali mordercze tempo pracy. Do najokrutniejszych należeli: Hans Gruss, Fritz Dietrich, Fritz Müller, Willy Rosa, Willy Gruteser oraz blockführer Klitsch. Chodził z kijem od grupy do grupy i dręczył wyczerpanych ludzi dodatkową gimnastyką. Miał zwyczaj tak długo ćwiczyć przysiady, aż cała grupa waliła się z nóg i nikt nie mógł podnieść się o własnych siłach. Około godziny 10 wszyscy słaniali się na nogach.

Przed południem popełniano najwięcej samobójstw. Wielu szło na druty, na linie posterunków. Niektórzy stawali nad przepaścią kamieniołomu do ostatniego lotu, głową w dół. O samobójstwach w kamieniołomie prawie nie mówiono — były tak powszechne, że utraciły rangę ważnych wydarzeń i traktowano je jako zjawisko codzienne. „Któregoś dnia — relacjonuje były więzień — przed obiadem usłyszeliśmy rozdzierający krzyk dochodzący z zachodniego szczytu góry. Podniosłem wzrok i ujrzałem młodego więźnia, który biegł ku lejowi kamieniołomu. Odbił się w wielkim pędzie, skok jego podobny był do skoku narciarza, ciało biegło łukiem i nim zaczęło spadać, wybiło się daleko wzwyż

i w przód. Był to skok w stumetrową czeluść o granitowym dnie. Z ciała została miazga. Ale trzeba było ją zebrać i zanieść do obozu. Zmarli stawali do apelu” \*.

O godzinie 12.00 bicie w szynę sygnalizowało przerwę obiadową. Więźniowie przerywali pracę i w kolumnach maszerowali do baraków. Ledwie powłóczyli nogami, ale musieli zdobyć się na wysiłek i utrzymać szybkie tempo marszu. Na ramionach nieśli ciała współtowarzyszy. W ciągu 10 minut wprost z misek wypijali zupę, a potem czyścili sprzęty i podłogi.

O 12.45 kolumny w tym samym jak rano szyku wracały do pracy. Po południu tempo pracy było nieco wolniejsze: nawet esesmani nie potrafili nic więcej wydusić ze ślaniających się na nogach ludzi.

W ciągu pierwszych dwu lat istnienia obozu w komandzie pracowało każdego dnia 500 więźniów. W latach późniejszych — 1000—1500. Praca ich osiągała wartość 17,5 miliona marek. Część pieniędzy każdego roku przekazywał koncern na rzecz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). Dochody wzbogacały także koncern „Hermann Göring Werke”. W komandzie Steinbruch zginęło 12 000 więźniów.

Więźniowie nadkomanda Bauleitung sypali tarasy, umacniali skarpy, wznosili baraki, rozpinali kolczaste druty, zakładali instalacje wodociągowe i elektryczne, brukowali drogi, pracowali w warsztatach obozowych. Własnymi rękami wznosili budowle, uruchamiali urządzenia, stawiali solidne, betonowe słupy na granicy miejsca, z którego jedyna droga do wolności prowadziła przez komin. Najciężej pracowało komando robót ziemnych. Zadaniem jego było przygotowanie terenu pod

---

\* Gładysz, op. cit., s. 109.

budowę nowych baraków. Od świtu do nocy więźniowie sypali na zboczu wzgórza płaskie tarasy ciosami granitu, umacniali strome skarpy. Dozorcy robót wywodzili się z najgorszego autoramentu szumowin kryminalnych. Uzbrojeni w kołki i trzonki od łopat, nadawali pracy tak mordercze tempo, że najslabsi już po dwu godzinach słaniali się na nogach.

W całym obozie panowało bezprawie, ale w komandzie prac ziemnych było ono szczególnie dotkliwe. Esesmani i funkcyjni nie wydawali wyroków śmierci na piśmie, lecz już rankiem, gdy rozdzielali pracę, więźniowie orientowali się, kogo czeka bliski koniec. Wystarczyło spojrzeć na górę ziemi do wywiezienia albo długość rowu do wykopania. Niektórzy nawet nie zabierali się do pracy. Wbijali łopatę w ziemię, gestem ręki żegnali towarzyszy i z podniesioną głową szli na linię posterunków. Ich pełna godności postawa wobec śmierci wyrażała najwyższą pogardę dla niesprawiedliwości i przemocy. Inni z determinacją podejmowali pracę. Szybko jednak tracili ochotę do życia. Praca, dla której kiedyś żyli, którą w innym świecie cenili jako najwyższą wartość, teraz ich zabijała, spychała bezlitośnie pod buty esesmanów, do pieca krematoryjnego. Rzucali narzędzia i obojętnie czekali na uderzenie łopatą w głowę, w którym celowali esesmani i funkcyjni tego komanda.

Każdego dnia znoszono na plac apelowy tzw. sturzbomby. Terminem tym określano w gwarze obozowej zamęczonych pracą więźniów, których ciała przenoszono w ten sposób, że jeden z towarzyszy zakładał sobie nogi nieboszczyka na ramiona, dwaj chwyтали go za ręce. Pozycja ciała przypominała nurkującą bombę.

Postrachem komanda był kapo Newald. Kiedy zabierał się do bicia, wiadomo było, że nie skończy, aż ofiara wyzionie ducha. Newald łamał nogi i ręce, wybi-

jał oczy i zęby. Pod wieczór z wyraźnym zadowoleniem pokazywał esesmanom zmasakrowane ciała. Często urządzał zabawy, które polegały na tym, że grupie więźniów kazał rozbierać się do naga i tak długo bić się nawzajem kijami, aż wszyscy wyczerpani padali na ziemię. Wtedy do dzieła ruszał sam Newald w podkutych butach. Stawał na piersiach i łamał żebra, deptał po twarzach, kopał, dusił obcasem. Pewnego razu w czasie jednej z masakr Newaldowi zdawało się, że na twarzach dwóch Rosjan widzi wyraz oburzenia. Zaprzęgnął ich do lory, naładował ją kamieniami i kazał im ciągnąć. Wózek nabierał rozpędu, przewrócił biegnących przodem Rosjan i z największą szybkością potoczył się w dół, wlokąc ich za sobą. W pewnym momencie lora przewróciła się i z hukiem wpadła w przepaść, ściągając za sobą przywiązane ofiary i miażdżąc je.

Oberkommando Bauleitung nie miało stałych stanów osobowych. W połowie 1943 r. przy wznoszeniu nowych obiektów obozowych pracowało około 1000 więźniów, a w październiku roku następnego — 3000.

W skład nadkomanda Bauleitung wchodziło szereg komand wykonujących określone roboty. Liczebność ich zmieniano zależnie od potrzeb. Więźniowie zatrudnieni w komandzie Strassenbau sypali drogi, równali je, układali granitową kostkę. Pracowali na rzecz prywatnej firmy drogowej „Strassenbau-Urbansky”.

Komando Kanalbau prowadziło roboty wodociągowe i kanalizacyjne, zakładało sieć centralnego ogrzewania. To komando również pracowało na rzecz prywatnej firmy.

Murarze komanda Maurer wznosili wszystkie obiekty z cegły i betonu. Przy budowie kasyna esesmańskiego, krematorium i kostnicy pracowali także w nocy przy świetle reflektorów.

Komando cieśli prowadziło montaż budynków z goto-

wych elementów, zakładało konstrukcje dachowe na budynkach murowanych itp.

Wydzielone komando elektryków czuwało nad działaniem instalacji elektrycznych, zakładało druty kolczaste otaczające obóz, instalowało sieć telefoniczną.

Osobne komando pracowało przy transporcie materiałów budowlanych ze stacji kolejowej.

Na obszernym placu — *Industriehof* — składano budulec. Mieściły się tam również składy narzędzi oraz warsztaty: stolarski, ślusarski, dekarcki, kuźnia i malarz.

Niezależnie od wymienionych — na terenie obozu zorganizowano komanda pracujące dla poszczególnych wydziałów obozowych. Największą ich liczbą dysponował Wydział 4 — *Verwaltung*. Podlegało mu komando obsługujące krematorium z grupą palaczy zwłok, tragarzy i zespołem obsługującym wóz ciężarowy do wywożenia popiołu. Więźniowie tego komanda na rozkaz władz obozowych ściągali złoto ze szczęk zmarłych, a także wykonywali wyroki na więźniach skazanych na śmierć.

Kilka komand odzieżowych reperowało odzież po zmarłych więźniach, zajmowało się przeróbką i reperacją obuwia. Liczne było komando kuchni. Na czele jego stał szef kuchni, podoficer SS. W skład komanda wchodził kucharze, ich pomocnicy oraz tragarze kotłów i liczna grupa więźniów obierających kartofle i szatkujących liście i brukiew. Pracowali tutaj „muzułmanie” — wykończeni fizycznie i psychicznie więźniowie, którzy nie mogli już utrzymać się na nogach i czołgali się na kolanach.

Pod kierunkiem Wydziału 4 pracowała także agencja urzędu pocztowego oraz kolumna obsługująca transporty więźniów: fryzjerzy, kolumny sanitarne.

Drugą grupę stanowiły komanda fabryczne koncer-

nów „Blaupunkt” i „Siemens und Halske”. Wytwarzano tam różnego rodzaju aparaturę elektryczną i podzespoły radiowe.

Do grupy trzeciej należały komanda transportu wewnętrznego, zamiataczy ulic, komando pracujące w gospodarstwie warzywnym. Lagerältesterowi bezpośrednio podlegała orkiestra obozowa, kancelaria i biuro przydziału pracy.

Poza drutami, na terenie koszar SS, pracowały liczne grupy więźniów wykonujących różne prace pomocnicze: sprzątanie pomieszczeń, mycie samochodów w bazie transportowej SS itp.

Na terenie kamieniołomów wzniesiono specjalny pawilon, w którym pod kryptonimem „Wetterstelle” (stacja meteorologiczna) pracowała grupa wybitnych inżynierów i naukowców. Badano tam urządzenia radiolokacyjne strąconych samolotów alianckich. Rozrysowane schematy przekazywano do dalszego wykorzystania inżynierom i niemieckim instytucjom lotniczym. Więźniowie tego komanda byli izolowani od reszty obozu.

Władze III Rzeszy od początku wojny wprowadziły na zagarniętych terytoriach system pracy przymusowej w niemieckim rolnictwie i przemyśle wojennym. Obowiązujące w Niemczech przepisy dotyczące przymusu pracy ogłaszano we wszystkich okupowanych krajach. Metody werbunku znane były w całej Europie. Łapanki przeprowadzano dniem i nocą na ulicach miast, osiedli i wsi.

Hermann Göring, komisarz pełnomocny do spraw planu 4-letniego, w dniu 27 marca 1942 r. przekazał na ręce Sauckla wszystkie swoje pełnomocnictwa dotyczące administrowania siłą roboczą.

„Głównym celem nowej, gigantycznej mobilizacji pracy — mówił Sauckel 20 kwietnia 1942 r. — jest zużytkowanie wszystkich tych bogatych i olbrzymich zasobów, zdobytych i zabezpieczonych przez nasze walczące siły zbrojne pod kierownictwem Adolfa Hitlera, na rzecz zbrojenia wojskowego i wyżywienia naszego kraju. Zarówno surowce, jak i płody zdobytych terenów oraz siły robocze mają być całkowicie wykorzystane dla dobra Niemiec i ich sprzymierzeńców [...] Całkowite zużytkowanie wszystkich jeńców wojennych oraz olbrzymiej ilości nowych robotników cudzoziemskich, tak mężczyzn, jak i kobiet, stało się nie podlegającą dyskusji koniecznością dla rozwiązania planu mobilizacji pracy w tej wojnie”.

Na początku 1942 r. kierownictwo „Tysiącletniej Rzeszy” zaczęło trzeźwiej oceniać sytuację Niemiec. Do sierpnia tego roku milion Niemców poległo na frontach. Po gigantycznym bombardowaniu Kolonii przez 1000 bombowców brytyjskich latem 1942 r. i klęsce pod Stalingradem prysł mit wojny błyskawicznej. Trzeba było podjąć długotrwałą wojnę na wielu frontach. Wymagało to pełnej mobilizacji gospodarczej. Minister do spraw uzbrojenia i amunicji Rzeszy, Albert Speer, przeprowadził szereg reform organizacyjnych i gospodarczych, w wyniku których w ciągu dwóch i pół lat osiągnięto ponad trzykrotny wzrost produkcji przemysłowej. Przemysł zbrojeniowy: huty, stalownie, fabryki samolotów i czołgów, rafinerie materiałów pędnych — pracowały na pełnych obrotach. Każde ręce potrzebne były do pracy. I to było przyczyną pewnej „humanizacji” wojny. Dały się słyszeć głosy ubolewające, że na początku wojny ze Związkiem Radzieckim wyniszczono setki tysięcy jeńców wojennych. Czołowy ideolog Trzeciej Rzeszy Rosenberg w liście do Keitla 28 lutego 1942 r. pisał:



„Z 3,6 miliona jeńców jest dziś tylko kilkaset tysięcy zdolnych do pracy. Wielka ich część zginęła z głodu lub na skutek warunków atmosferycznych. Tysiące uległy tyfusowi plamistemu”.

W związku z tym więzienia, obozy jenieckie i koncentracyjne otrzymały zadanie zwiększenia potencjału siły roboczej.

W Gross-Rosen, podobnie jak w innych obozach, przystąpiono do intensywnej rozbudowy istniejących i organizacji nowych komand produkcyjnych.

Podobozy, czyli filie obozów macierzystych, to osobna karta w dziejach obozów koncentracyjnych. Do dnia dzisiejszego istnieją w Niemczech koncerny, na których konto wpływały milionowe zyski za pracę więźniów obozów koncentracyjnych.

Do roku 1943 obóz Gross-Rosen miał kilka filii. Dopiero w roku następnym zorganizowano ich kilkadziesiąt.

Pierwszą filią był Arbeitslager Breslau Lissa, założony w połowie 1942 r. Więźniowie pracowali tam przy wznoszeniu koszar esesmańskich, w warsztacie samochodowym SS i przy budowie dróg. W 1944 roku w podobozie zatrudniano kilkuset więźniów. W 1945 roku w związku ze zbliżającym się frontem przystąpiono do ewakuacji podobozu. Dzięki ofiarnemu lekarzowi Jachnie kolumna z możliwie małymi stratami dotarła do obozu macierzystego. Nie udało się uniknąć odmrożeń i przeziębień, ale więźniowie tego podobozu nie przeszli tragedii, która była udziałem innych.

Podobozy Dyhenfurth I i II założono latem 1943 r. w Brzegu Dolnym n/Odrą. Komando pierwsze, zorganizowane wcześniej, pracowało w zakładach przemysłu chemicznego „Anorgana” (dzisiejsze zakłady chemiczne „Rokita” w Brzegu Dolnym).

Były tu warunki szczególnie szkodliwe dla zdrowia. Koncern „Farbenindustrie” produkował w „Anorganie” śmiertelne związki chemiczne, którymi wypełniano pociski. Tutaj także produkowano gazy bojowe, których działanie obliczone było na porażenie układu nerwowego. Więźniowie zatrudnieni przy produkcji tych chemikaliów cierpieli na zaburzenia psychiczne, zapadali na choroby układu nerwowego. Do pracy w tym komandzie Politische Abteilung Gross-Rosen kierowało więźniów po uprzednim uzyskaniu zgody komórki gestapo w miejscu aresztowania więźnia.

Komando drugie wznosiło obiekty zakładów. W czasie wojny zapotrzebowanie na chemiczne środki bojowe było tak olbrzymie, że uruchomiono produkcję w budynkach przeznaczonych na magazyny i biura. Przedsiębiorstwo „Luranil” rozbudowywało zakłady „Anorgana”. W obu komandach pracowało kilka tysięcy więźniów. Umowy zawarte między przedsiębiorstwami i władzami SS przewidywały skierowanie w roku 1945 do pracy 9700 więźniów.

Komendantem obu filii był Karl Brauer. Ponieważ produkowano dla potrzeb armii, praca zakładów została objęta tajemnicą wojskową, co było równoznaczne z wprowadzeniem niezwykle ostrego reżimu. Dosłownie każdy ruch więźnia był śledzony przez personel dozoru. Pomocnikami komendanta byli raportführerzy: Karl Galatsch i Rudolf Jerzak. Pod ich kierownictwem esesmani okradali więźniów z głodowych racji żywnościowych, zmuszali do nadludzkiego wprost wysiłku. Zwłoki zamordowanych odwożono do krematorium obozu macierzystego, z Gross-Rosen zaś dostarczano nowych więźniów, aby tempem pracy dla potrzeb niemieckiego przemysłu wojennego wycisnąć z nich resztki sił. Sytuacja, przynajmniej w rewirze, uległa poprawie na początku 1944 roku, gdy przybyli polscy sanitariusze

z lekarzem Kazimierzem Hałgasem. Czynili wszystko, aby ulżyć doli współtowarzyszy. Ofensywa wojsk radzieckich zmusiła władze do zamknięcia i ewakuacji obu podobozów.

24 stycznia 1945 roku zdolni do marszu, a także ci, którzy mogli utrzymać się jako tako na nogach, ruszyli pieszo w drogę do Gross-Rosen. Już po przebyciu pierwszych kilometrów na tyłach kolumny marszowej rozległy się strzały. To konwojujący więźniów esesmani zabijali tych, którzy tracili siły i nie nadążali za wszystkimi. Zamordowanych nie grzebano i nie zabierano ze sobą — zostawali w przydrożnych rowach, znacząc męczeńską drogę kolumny śmierci.

Kilkuset chorych pozostało w rewirze. Niedługo wahało się z podjęciem decyzji co do ich losu. Jeszcze tego samego dnia spędzono część chorych z prycz i popędzono w drogę. Następnego dnia — 25 stycznia — ruszyła ostatnia grupa chorych z rewiru. Pędzono ich w styczniowy mróz po śniegu bez butów i odzieży. Wielu nie miało nawet bielizny. Okręcali nogi szmatami i sznurkami, zarzucali koc na ramiona i szli w mroźny dzień przez zasypane śniegiem drogi. Przewracali się na pierwszych nierównościach terenu, zostawali w zaspach. Dobijano ich, ale byli i tacy, których pozostawiano własnemu losowi. Tylko kilkunastu dowlokło się do obozu w Gross-Rosen.

Komando Fünfteichen w pobliżu Jelcza zostało założone w połowie 1943 roku. Budowano tam hale fabryczne zakładów „Bertha-Werke”, należących do koncernu Kruppa. Fabrykę i obóz połączono dwukilometrowym korytarzem z kolczastego drutu. W ten sposób komendantura chciała wykluczyć jakąkolwiek możliwość ucieczki. Nie zastraszyło to najodważniejszych. Podejmowali ryzykowne próby odzyskania utraconej wolności. Komendant podobozu Otto Stoppel wraz z pod-

ległymi mu funkcjonariuszami SS narzucili tak mordercze tempo pracy, że duża ilość więźniów nie mogła o własnych siłach przebyć drogi z obozu do pracy. W czasie marszu podtrzymywali ich koledzy, ale na miejscu wszyscy musieli stanąć przy maszynach. Najślabi padali na betonową podłogę. Po pracy odnoszono ich do przepełnionego rewiru, który był „dojrzewalnią” do krematorium. „Komando Pięciu Stawów” postawiło obiekty, w których mieszczą się dzisiaj zakłady karoserii samochodowych „Jelcz”. Komando w dniu 30 listopada 1944 r. liczyło 5946 więźniów. Stan ten utrzymał się do dnia ewakuacji.

21 stycznia 1945 r. kilka tysięcy więźniów w kolumnie marszowej ruszyło drogami na zachód. Szli kilka dni bez pożywienia i wody. Jedli śnieg. Pochodowi towarzyszyły ciągle strzały na tyle kolumny. To esesmani starym zwyczajem zabijali najbardziej wyczerpanych. Więźniowie szli do obozu, a wolność była po drugiej stronie przydrożnego rowu, za pierwszymi drzewami mijanych zagajników. Wielu śmiałych próbowało uciekać, chyba jednak wszystkich dosięgły kule konwojentów. Gdy wreszcie sterroryzowana kolumna dowlokła się do Gross-Rosen, wszyscy więźniowie byli chorzy i mieli odmrożone nogi, ręce, uszy, policzki. Doszli do obozu macierzystego, ale tutaj, rzecz jasna, nie tylko nie znaleźli opieki lekarskiej, ale nawet obozowej strawy. W tym czasie dawano jeść raz dziennie.

Nie wszyscy więźniowie tego komanda ruszyli w kolumnie ewakuacyjnej. W rewirze pozostali chorzy, którzy nie mogli o własnych siłach stanąć na nogach. Zamierzano ich wystrzelać, ale prawdopodobnie czekano na odpowiedź komendantury obozu macierzystego. Więźniowie orientowali się, że lada godzina rozpocznie się masakra. Na oczekiwaniu minęła reszta dnia 21 stycznia. Rankiem ci, którzy jeszcze nie stracili przytom-

ności, zegnali leżących na pryczach sąsiadów. Mijały godziny, a esesmani nie zabierali się do dzieła. Minał 22 stycznia i zapadła noc. Następnego dnia w bramie obozu stanęli żołnierze z automatami gotowymi do strzału. Byli to żołnierze zwiadu radzieckiego.

Arbeitslager Landeshut założony w połowie 1944 r. w Kamiennej Górze istniał 10 miesięcy. Więźniowie byli tam zatrudnieni w fabryce łożysk kulkowych „Kramst-Methner und Frahne”. Oprócz ciężkiej pracy, głodu i chorób wyniszczali więźniów terrorem fizycznym znani w obozie macierzystym oprawcy. Komentantem podobozu był początkowo esesman Gross, potem zaś esesman Hauke. Komendantowi pomagali arbeitsdienstführer Metzner, blokowi, a także funkcyjni, kryminaliści niemieccy: Peter Richard, Dicke, Regel, Zappe i inni.

16 lutego 1945 r. na rozkaz komendantury podobozu ruszyła do marszu ewakuacyjnego kolumna więźniów. Okazało się jednak, że wojska radzieckie otoczyły okolicę. Kolumna zawróciła z drogi. Esesmani zamierzali wymordować wszystkich więźniów, świadków dokonanych zbrodni. Bali się jednak otwartego buntu. Zapędzono więźniów do budowy fortyfikacji. Pracowali pod nadzorem esesmanów, żołnierzy Wehrmachtu i organizacji TODT.

8 maja słychać już było automaty radzieckie. W nocy oprawcy uciekli, 9 maja do podobozu weszli żołnierze radzieccy.

Komando FAMO w Aslau w pobliżu Bolesławca na Dolnym Śląsku liczyło około 1500 więźniów. Pracowali oni przy montażu samolotów, budowali bocznice kolejową, strzelnicę, rozbudowywali zakłady. Komendantem podobozu był Fisch, podoficer SS. Po wybuchu powstania w Warszawie zastrzył terror wobec więźniów Polaków. Podejrzanych o planowanie ucieczki skazywał

na śmierć przez powieszenie. 11 lutego 1945 r. podobóz zamknięto. Kolumna więźniów ruszyła pieszym marszem śmierci w kierunku obozu Dora-Nordhausen. Doszli tam 15 marca. Było ich 487.

Komando w zakładach „Phrix-Werke” w Jeleniej Górze zatrudniało około 2000 więźniów. Ich wysiłkiem rozbudowano zakłady i przestawiono produkcję na potrzeby frontu. Obecnie znajduje się tam fabryka włókien sztucznych „Celwiskoza”.

Komendanturze obozu macierzystego Gross-Rosen podlegało około 100 filii. W komandach tych, jak się szacuje, pracowało 38—45 tysięcy więźniów. Większość z nich wyginęła zimą 1945 roku w czasie pamiętnych marszów ewakuacyjnych.

# MORDERCY



**W**ielu zachodnioniemieckich publicystów i działaczy politycznych reprezentuje pogląd, że naród niemiecki został sterroryzowany przez grupę fanatyków o skłonnościach maniakałnych. Zbrodniczą działalność przypisuje się przywódcom, chcąc w ten sposób znaleźć jakieś rozwiązanie i nie obciążać odpowiedzialnością całego narodu, który w swej masie poparł Hitlera i jego program ludobójczy.

Niemcom od dawna przyświecały idee sformułowane w lapidarnych sloganach: „Siła jest prawem” oraz „Niemcy ponad wszystko”. Pangermańskie pismo „Grenzbote” w numerze 48 z 1896 r. pouczało Niemców w artykule wstępnym: „Jeśli dobro naszego kraju wymagać będzie podbojów, ujarzmiania, wywłaszczania, zagłady innych narodów, uważamy, że nie powinny nas od tego odwieść żadne względy humanitarne czy chrześcijańskie”.

Utrzymane w podobnym duchu i tonie cytaty i wypowiedzi wpływowych polityków niemieckich z początku stulecia można by mnożyć w nieskończoność. Niemieccy profesorowie, politycy, generałowie, nauczyciele, a nawet duchowni w setkach książek i broszur przygotowali Niemców do krwawego dzieła.

Powszechnie znane są przemówienia Hitlera i jego paladynów. Mieli oni odwagę głosić publicznie ludobójstwo. Nie było to tylko obliczone na efekt krasomówstwo propagandowe. Reżim dochodził do władzy stosując brutalny terror wobec przejawów jakiejkolwiek opozycji, a nawet niezdecydowania. Wiosną 1933 r. w Niemczech dogorywał stary ład, rozsypywały się partie polityczne prawicy. Niemcy masowo śpieszyli pod sztandary ze swastyką. Przemówienia führera i innych brunatnych przywódców witano rykiem entuzjazmu, kilkuset tysięczne tłumy składały w blasku pochodni przysięgę na wierność wodzowi, nocami na wzgó-



rzach palono ogniska, odmawiano modlitwy dziękczynne. Wódz nie ukrywał swych poglądów. W pierwszym okresie działalności atakował „hańbę wersalską”, „spisek żydowsko-marksistowski”, wynosił na piedestał rasę germańską, przestrzegał przed jej zanieczyszczeniem, szczególnie krwią żydowską. W działalności praktycznej nie uznawał żadnych zasad moralnych, zawsze gotów był, jak sam cynicznie przyznawał, do „sześciu krzywoprzysięstw dziennie”. Głosił, że życie to walka, w której silny zabija słabego, a wszelka moralność, jej nakazy i zakazy to głupota i dekadencja. Prawie w każdym przemówieniu propagował Hitler prawo pięści, konieczność „biologicznego uprzątnięcia śmieci”.

Podobne poglądy reprezentowali inni dygnitarze faszystowscy. Hermann Göring, nakazując w 1933 r. pruskiej policji używanie broni, zapewniał, że „każda kula, która zostanie wystrzelona teraz z lufy policyjnego pistoletu, jest moją kulą. Jeżeli to nazwać morderstwem, to ja je popełniłem, ja to wszystko nakazałem, ja to kryję, ja ponoszę za to odpowiedzialność i nie mam się czego wstydzić”.

Nakazy i wskazówki ideologów opracowywał i przekazywał do praktycznej realizacji reichsführer SS Heinrich Himmler. Był on, jak sam to określił, „bezlitosnym mieczem katowskim” ruchu narodowosocjalistycznego. Karierę zawdzięczał zdolnościom organizacyjnym, gorliwości w wykonywaniu rozkazów i metodycznej realizacji zamierzeń i celów. Był postacią bezbarwną i szarą, ale nieludzko konsekwentną. Nie pozostawiał marginesu na żadną improwizację. Jego postanowieniami i podjętymi decyzjami nie potrafiła zachwiać żadna idea, żadna nowa koncepcja, oprócz rozkazów Hitlera. Bez wątpliwości i najmniejszych wahań przekazywał decyzje w sprawie losu milionów ludzi.

W Trzeciej Rzeszy stworzył państwo SS. 6 stycznia 1929 r., kiedy został reichsführerem tej organizacji, liczyła ona niespełna 300 ludzi. W ciągu następnych lat SS przerodziło się w olbrzymią machinę, obejmującą wpływami wszystkie dziedziny życia społecznego i gospodarczego.

SS była od początku organizacją elitarną, skupiającą, jak twierdził Himmler, „najbardziej konstruktywne elementy narodu niemieckiego”. Zamiarem jego było ukształtowanie nowego typu człowieka i utworzenie w Burgundii państwa totalitarnego, opartego na niewolnictwie. Charakteryzując esesmanów mówił: „Jedna zasada musi absolutnie obowiązywać esesmana: uczciwi, przyzwoici, wierni, koleżeńscy mamy być tylko wobec ludzi naszej własnej krwi, wobec nikogo więcej. Jest mi najzupełniej obojętne, jaki los czeka Rosjan czy Czechów. Co w tych narodach jest dobrej krwi naszej rasy — to sobie zabierzemy, rabując im, jeśli będzie trzeba, ich dzieci i wychowując je u nas. Czy inne narody żyją w dobrobycie, czy też zdychają z głodu, obchodzi mnie tylko tyle, o ile potrzebujemy ich jako niewolników dla rozwoju naszej kultury [...] Nigdy nie będziemy brutalni i bezlitośni tam, gdzie to nie jest konieczne, to jasne. My, Niemcy, jedynie na świecie mamy przyzwoity stosunek do zwierząt. Dlatego również nasz stosunek do tych człekoźwierząt będzie przyzwoity. Ale zbrodnią wobec naszej własnej krwi byłoby martwić się ich losem i chcieć obdarzyć ich ideałami [...]” \*

W Niemczech otwarła się otchłań barbarzyństwa, ludobójstwa, zagłady i okrucieństwa. Do niszczytel-

---

\* Cyt. wg J. C. Fest, *Oblicze Trzeciej Rzeszy*, Warszawa 1970, s. 133, 194—195.

skiej pracy ruszył esesmański personel obozów koncentracyjnych, całe zastępy ludzi, których codzienną pracą było zadawanie śmierci. Kult rasy germańskiej i niemieckiego nadczołowieka sprzyjał ugruntowaniu się w esesmanach przekonania, że w obozach koncentracyjnych przebywają ludzie „niższych ras” i niemieckie, skazane pod względem rasowym, „śmieci społeczne”, skazane na zagładę.

Każdy esesman był pracownikiem śmierci, a to, czy praca jego polegała na rozstrzeliwaniu, gazowaniu czy dozorowaniu pracujących więźniów, było mu zupełnie obojętne.

Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze w ogłoszonym wyroku, charakteryzując działalność przestępczą SS, udowadnia tej organizacji nie tylko udział w wojnach napastniczych, ale także uznaje, że „[...] uczestniczyło SS w dokonaniu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości”.

Od 1934 roku SS administrowało obozami koncentracyjnymi i pełniło w nich straż. „Przeprowadzone dowody wykazują ponad wszelką wątpliwość, że stałe brutalne traktowanie więźniów obozów koncentracyjnych jest wynikiem ogólnej polityki SS, wedle której osadzonych należało traktować jako ludzi niższej rasy i z pogardą. Trybunał jest w posiadaniu dowodów, że gdzie warunki pracy na to pozwalały, Himmler zmieniał kolejno bataliony strażnicze w tym celu, by wszyscy członkowie SS otrzymali instruktaż w sprawie odpowiedniego traktowania niższych ras. Kiedy po roku 1942 obozy koncentracyjne zostały oddane pod kontrolę WVHA, użyto tych obozów jako źródeł pracy przymusowej [...] Zawiadując obozami koncentracyjnymi, SS przystąpiło do serii doświadczeń na żywych ludziach, których dokonywano na jeńcach wojennych i więźniach. Doświadcze-

nia te obejmowały zamrażanie na śmierć i zabijanie zatrutymi kulami” \*.

Biorąc pod uwagę ogrom dokonanych przez SS zbrodni, „Trybunał doszedł do wniosku, że świadomość powyższej zbrodniczej działalności była tak powszechna, że uzasadnia uznanie SS za organizację zbrodniczą [...]” \*\*

SS była doskonale zorganizowaną i zdyscyplinowaną organizacją NSDAP. Zadaniem jej było stworzenie z Europy kontynentu germańskiego przez eksterminację i wyniszczenie wszystkich „niższych ras”. W konsekwencji zbrodni i mord stały się „rzeczą zupełnie codzienną, a nawet przedmiotem dumy”.

Wszystko to dobitnie świadczy o deprawacji niemieckiej mentalności. Wielu zawodowych morderców, wyższych oficerów, w życiu codziennym było zacnymi ojcami rodzin. Mieli domy, żony, kupowali swoim dzieciom słodycze i zabawki, hodowali zwierzęta domowe, siadali do pianin i fortepianów, malowali sielskie krajobrazy. Wszystko to nie przeszkadzało im być mordercami kobiet, dzieci, zniedołężniałych starców i bezbronnych więźniów.

Nie sposób omówić w tym miejscu wszystkich morderców z Gross-Rosen, dlatego ograniczymy się jedynie do kilku z nich.

Pierwszym lagerführerem Gross-Rosen był Anton Thumann.

Urodził się 30 X 1912 r. Z zawodu stolarz. W 1940 r. oberscharführer SS (mł. sierżant). W Gross-Rosen kilkakrotnie awansował, by w grudniu 1942 r. otrzymać szlify hauptsturmführera SS. Za kierowanie obozem i własno-

---

\* *Materiały norymberskie*, Warszawa 1948, s. 254—255.

\*\* Tamże, s. 256.

ręczne mordowanie więźniów odznaczono go złotą odznaką partyjną. Prymitywny, ograniczony umysłowo, ale za to wysoki, szczupły, nienagannie ubrany, zjawiał się na terenie obozu w towarzystwie wilczura „Borysa”. Pies ten był postrachem „muzułmanów” — wycieńczonych głodem i pracą więźniów, którzy nie mieli sił chodzić i poruszali się przy pracy na kolanach.

✓ Gdziekolwiek zjawiał się lagerführer, esesmani popisywali się przed nim wyjątkowym okrucieństwem. Chwyтали kije albo drągi i na oślepie tłukli więźniów. Stawali przed zwierzchnikiem na baczność, składali meldunki, ocierali pot z czoła i czekali na słowa uznania.

Thumann chodził po obozie i obserwował pracę więźniów. Wystarczyło, aby dłużej na kogoś popatrzył. Jego spojrzenie było wyrokiem śmierci. Zabijał sam albo robili to za niego blockführerzy. Nosił rękawiczki i dobrze skrojony mundur, co nie przeszkadzało w rozbijaniu tępym żelazem czaszek radzieckich jeńców wojennych.

Lagerführer zwerbował do Gross-Rosen wyjątkowych łotrów z SS. Jednak nawet wśród nich przeprowadzał selekcję i dobierał zdecydowanie cynicznych i okrutnych morderców. ✓

Anton Thumann pełnił funkcję lagerführera do marca 1943 r. Przeniesiono go potem do obozu na Majdanku, gdzie został zastępcą komendanta. Po wojnie brytyjski sąd wojskowy skazał go na śmierć. Wyrok wykonano w 1946 r.

Następcą Thumanna był hauptsturmführer SS Peter Brandenburg, zwolniony z tego stanowiska po kilkunastu dniach. Objął je po nim i zajmował do końca istnienia obozu Walter Ernstberger. „Umiał on pogodzić — wspomina Mieczysław Mołdawa — elegancję i maniery

oficera pruskiej szkoły junkrów z bandyckim wciele-  
niem raubrittera i sadysty. Wysoki i przystojny, fawo-  
ryt berlińskich mocodawców, nienagannie ubrany, pod  
stałą opieką fryzjera i masażysty, wchodził do obozu  
ze szpicrutą i w białych rękawiczkach, z czapką zawa-  
diacko zsuniętą z czoła. Narkoman i alkoholik, czę-  
sto pokazywał swojej małżonce, również raczącej się  
alkoholem, jak się morduje więźniów, a przed block-  
führerem lubił popisywać się swoją władzą oficera  
SS” \*.

Ernstberger osobiście mordował przeważnie więźniów  
funkcyjnych. Do umysłowości jego z trudem docierała  
rzeczywistość. Wykolejony, przeżarty narkotykami i al-  
koholem, już po zajęciu obozu Gross-Rosen przez Armię  
Radziecką ocknął się w komandzie Reichenau i wysłał  
zwiad, by zasięgnąć języka i ponownie objąć władzę  
w obozie. Nie mógł zrozumieć, że Niemcy przegrali  
wojnę. Czołgi radzieckie wydawały mu się koszmarną  
halucynacją, wywołaną narkotykami. Karząca ręka do-  
siągnęła go w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Został  
rozpoznany i stracony w 1945 r.

Pierwszym rapportführerem w obozie był oberschar-  
führer SS Rafaltschyk. Funkcję tę sprawował bardzo  
krótco. Już w grudniu 1940 r. przejął ją Siegfried  
Schwarze. Pochodził z Turyngii, z zawodu był fryzje-  
rem. Nie lubił się męczyć fizycznie przy katowaniu  
więźniów. Topił ich w basenie przeciwpożarowym,  
całe bloki zadręczał gimnastyką, marszami, śpiewem  
i karną musztrą. Z Gross-Rosen przeniesiono go do  
Dachau, gdzie był kierownikiem biura pracy. Fun-  
kcję rapportführera objął po nim w 1943 r. Helmuth  
Eschner.

---

\* M. Mołdawa, *Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku*, Warszawa 1967, s. 48.

Eschner był postrachem obozu. Zameęczał więźniów karną musztrą, ćwiczeniami i śpiewem. Często brał udział w egzekucjach i asystował przy paleniu ciał w krematorium. Tam specjalnym łomem wyłamywał złote zęby i koronki ze szczęk pomordowanych. Po wojnie został ujęty, osądzony przez aliancki sąd wojenny w Hamburgu i stracony w 1948 r.

Lista blockführerów obejmuje kilkadziesiąt nazwisk. Wszyscy wsławili się pastwieniem nad więźniami. Do najokrutniejszych należał Karl Galatsch. „Zgarbiony — relacjonuje Mołdawa — o wyglądzie suchotnika, nie miał dość siły fizycznej do katowania, używał więc najczęściej butów, każąc przedtem więźniowi upaść na ziemię (hinlegen). Niszczył więźniów zamrażaniem na dworze w zimie, wypędzaniem na wielogodzinny deszcz i wyrafinowanymi ćwiczeniami” \*. po wojnie ujęto go we Wrocławiu. Osadzony w więzieniu, powiesił się w celi.

W zeznaniach wszystkich więźniów powtarza się nazwisko blockführera Edwarda Drozdowskiego. Trudno ustalić narodowość tego arcyłotra. Twierdził, że jest z pochodzenia Litwinem o nazwisku Dreskaulis, ale przed wojną służył w policji warszawskiej pod nazwiskiem Drozdowski. W 1942 roku zjawił się w Gross-Rosen w randze rottenführera SS (st. szer.) jako Drasdau-skas.

Średniego wzrostu, o kwadratowej szczęce i krzywych nogach, działał z premedytacją. Znał biegle język polski. Lubił czynić spustoszenie szczególnie w polskich blokach, wykańczając „inteligentów”. Nie pozwalał wyręczać się kapo w katowaniu, mordował ofiarę do końca. Upatrzonemu więźnia niespodziewanym ciosem

---

\* Tamże, s. 51.

w żołądek lub szczękę obalał na ziemię. Na szyi kładł kij i stawał na końcach. Aby przedłużyć agonię, zwałniał jeden koniec kija i zaczynał się powoli huścić. Przez cały czas patrzył na twarz i ciało mordowanej ofiary. W czasie pracy zabijał też uderzeniem kija w głowę.

Po wojnie Mieczysław Kruk-Rostański, były więzień, rozpoznał i osobiście ujął Drozdowskiego. Skazany został przez sąd aliancki na śmierć i stracony w 1948 r. w Hamburgu.

Blockführer Jerzak znęcał się nad więźniami w ten sposób, że stawał butami na nogach więźnia i łokciem wybijał zęby.

Wymienionym wyżej mordercom w niczym nie ustępowali pozostali blockführerzy: Hampel, Klitsch, Barth, Wentzel, Müller, Hanke, Schatz, Witting, Schneider, Weiss, Schultz, Wolff, Leier, Weiser, Becher, Hinze, Krinke i inni. Tępi i niewykształceni, szczególnie nienawidzili oni inteligentów i przy każdej sposobności starali się wykazać „wyższość” niemieckiej krzepy fizycznej nad sprawnością umysłową więzionych.

Kiedy przywieziony do obozu profesor Michałowicz, zapytany o zawód, odpowiedział, że jest lekarzem, profesorem uniwersytetu, „esesman przewrócił go na ziemię jednym ciosem. Na warknięty rozkaz «aufsteigen!» profesor stanął w przepisowej postawie na baczność. Drugi cios rzucił znów rektora na ziemię. Esesman wrócił do stołu, akcję przejął kapo. Uderzenia i «aufsteigen!» powtarzały się jeszcze kilka razy. Wśród oblegającego tłumy więźniów było kilku wychowanków profesora, między innymi i ja. Patrzyliśmy bezsilni na jego mękę. Podziwialiśmy hart profesora. Ani jednego jęku, żadnych oznak zdenerwowania, kamienna twarz i mechaniczne wykonywanie czynności, tylko coraz wolniejsze tempo świadczyło o spadku sił. Revierkapo



Georg Prill na szczęście zmęczył się i przerwał kaźnię” \*.

Obok esesmańskiej załogi obozu istniał, jak mówiliśmy, tzw. „samorząd więźniarski”. Funkcyjni nosili przyszyte na rękawie opaski z odpowiednimi napisami.

Od początku istnienia obozu aż do roku 1944 funkcje w samorządzie sprawowali wyłącznie więźniowie niemieccy. Byli to rutynowani kryminaliści, recydywiści, nożownicy, złodzieje, mordercy, sutenerzy, zbrodniarze, najgorsze męty i szumowiny przestępcze miast niemieckich. Okazali się wiernymi sojusznikami reżimu hitlerowskiego. Dano im nieograniczoną władzę nad życiem współwięźniów. Zabijali ich przy każdej okazji — w ustępach, w umywalniach, na korytarzach, na przy-  
czach w czasie snu — aby przywłaszczyć sobie sweter, lepsze buty, złoty ząb lub pożywienie więźnia.

Władze obozowe typowały na stanowiska funkcyjne kryminalistów wyróżniających się siłą fizyczną, pozbawionych jakiegokolwiek poczucia moralności, zdolnych do ślepego wykonania każdego rozkazu. Ponieważ kryminalistów niemieckich było więcej niż funkcji do obsadzenia, trwała bezpardonowa walka o jakiegokolwiek stanowisko. Na porządku dziennym były skrytobójcze morderstwa, wzajemna inwigilacja i donoszenie do władz. Esesmani wykorzystywali tę sytuację. Panując nad całą mafią przeciwstawiali sobie poszczególne szajki. Na stanowiskach utrzymywali się sprytni, bezwzględni mordercy, którzy cieszyli się poparciem swych mocodawców, a równocześnie trzymali w ciągłym szachu amatorów na własne funkcje.

Takim był między innymi blokowy Emil Radke. Ten niemiecki kryminalista i zbrojeniec seksualny zwabiał do siebie młodych chłopców i po kilku dniach współży-

---

\* F. Siejwa, *Więzień III pola*, Lublin 1964.

cia mordował ich z zimną krwią. Mordował też tych, którzy nawet przez przypadek byli świadkami procederu, jaki uprawiał. Poza tym był złodziejem i kradł, gdzie się dało. Ponieważ za kradzieże surowo karano, zabijał okradzionych, by nie mogli dochodzić swych praw.

Kres działalności Radkego położyło zamordowanie wiosną 1944 r. starszego obozu — Karla Kaisera. Kaiser, też zawodowy morderca, miał wyjść na wolność i postanowił zagarnąć złoto pochodzące z zębów ofiar palonych w krematorium. Spotkał się w tym celu z blokowymi: Emilem Radke z bloku 13, Harry Hinzem z bloku 16, Brunonem Reistem z bloku 20 i Karlem Ebnehrem. Bruno Reis prowadził wytop złota w kuźni komanda Siemens.

O świcie w basenie kąpielowym za blokiem 5 znaleziono zamordowanego w nocy Karla Kaisera. Natychmiast zarządzono apel. Nikogo nie dziwiły apele przeprowadzane w obozie nawet o świcie, ale gdy kazano zdjąć pasiaki i koszule, więźniowie zaczęli patrzeć na esesmanów z niepokojem. Ci chodzili między szeregami. szukali na ciałach świeżych zadrapań lub innych śladów nocnej walki. Już w czasie apelu zaczęły się szerzyć pogłoski, że Kaisera zabili Polacy. Po kilku godzinach stugębna fama głosiła, iż więźniowie polscy najpierw Kaisera pobili, a potem utopili w basenie. Tego dnia różnej maści funkcyjni Niemcy wykończyli morderczym tempem pracy około 100 więźniów Polaków. Polscy więźniowie komanda Siemens, którzy znali powiązania Reisa, Radkego i Kaisera, podjęli na własną rękę śledztwo, aby wykryć zabójców. Miało to bronić w pewnym stopniu więźniów Polaków przed rozwścieczoną zgrają esesmanów i funkcyjnych kryminalistów niemieckich.

Tymczasem komendant zarządził uroczysty pogrzeb

Kaisera. Zwłoki wystawiono w krematorium. Esesmani złożyli wieńce. Potem składali kwiaty wszyscy blokowi i funkcyjni. Po trzech dniach groteskowych uroczystości ciało Kaisera razem z wieńcami i kwiatami wrzucono do pieca krematoryjnego.

Na więźniów Polaków sypały się nadal kary i represje. Wreszcie wykryto wszystkie nici i ustalono nazwiska zabójców. Byli to oczywiście Emil Radke, Harry Hinz, Bruno Reis i Karl Ebnehr. Wszystkich publicznie powieszono na placu obozowym.

W bloku 8 na skrzydle B starszym izbowym był Emil Schwartz. Zawodowy złodziej, typ patologicznego mordercy, dla zdobycia papierosa albo żywności mordował kilku ludzi tygodniowo. „Odkomenderowano go potem — wspomina Gładysz — do Treskau. Ale szczęście mu tam nie dopisało. Którejś nocy dwaj pobici przez niego więźniowie zwlekli się z łóżek i w czasie snu odcięli mu brzytwą głowę. Władze obozowe sprowadziły jego zwłoki do macierzystego obozu i choć ciało powróciło bez głowy, spalono je uroczyście jako zwłoki bohatera, który poległ przy pełnieniu służby” \*. Podobni do niego byli zresztą wszyscy funkcyjni: lagerälteste — Schali Pickel, Gottlieb Kaiser, Bruno Reis, Georg Prill, Rheinhold, Pawlikowski, Karl Ebnehr i inni, oraz blockälteste: Max Weiss, Kurt Vogel, Karl Kirschmann, Ossi Weks, Kaczyska, Harry Hinz, Hermann Lesche i wielu innych.

W okresie późniejszym obozowi siepacze wpadli w swoisty obłąd śmierci. Komendant Ernstberger coraz częściej chodził po obozie pijany, w rozpiętym mundurze, w przekrzywionej czapce na głowie, ale po dawnemu bił pięściami po żołądkach, łokciami łamał szczęki, kopniakami odbijał nerki.

---

\* Gładysz, op. cit., s. 147.

W obozie w dalszym ciągu umierano każdego dnia „normalnie”: z wycieńczenia, od bicia, z osłabienia i chorób. W komendanturze opracowywano rozkazy, przekazywano je do wykonania podwładnym. Po południu grano w karty, handlowano złotymi zębami i pierścionkami, przegrywano złote łańcuszki i medaliki, wygrywano butelki koniaku. Prawie każdego dnia Ernstberger upijał się do utraty przytomności. Bełkotał wtedy, że jest Neronem, i kazał podwładnym nosić się na noszach. Esesmani mówili tylko o picciu, zabijaniu i płodzeniu, zamieniali się w stwory nieludzkie, dla których nie istniały granice rozsądku i prawa.

W ślady ich szli obozowi oprawcy. Demoralizacja była tak powszechna, a pogarda dla człowieka tak głęboka, że bywały wypadki, kiedy funkcyjni nie zadawali sobie trudu, by zabić więźniów. 10 marca 1947 r. przed Sądem Grodzkim w Bytomiu więzień Tadeusz Mroziwicz zeznał: „Zwłoki palono w krematorium, widziałem raz, jak przed krematorium ustawiono nagich więźniów, kazano im się odwrócić tyłem do krematorium i brano po kolei żywych” \*. Dwóch z obsługi pieca chwytalo więźnia za gołe ramiona, przewracało na wózek i po szynach wsuwało do pieca.

W krematorium spalano „na sucho”, zarem koksowniczym. Pękała skóra na plecach, brzuchu, wylewały się wnętrzności, czerniały profile. W rozpalonym piecu w popiół zamieniało się ciało. Różnie umierano. Czasem w milczeniu, a czasem z krzykiem. Pewnego dnia jakiś więzień zawołał: „Psy! Wściekłe psy!” Krzyk ten, głośniejszy od szumu krematorium, wdarł się do baraków, był tak rozpaczliwy, że chorzy w rewirze po przeciwległej stronie obozu unieśli na pryczach głowy.

---

\* Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. 69 ob.

Dzień i noc walił pod niebo ciężki, rudy dym. Często opadał na dół, tłukł się między ścianami baraków. Był gryzący, słodkawy — więźniowie dostawali mdłości.

W pobliżu ściany śmierci, obok krematorium, przystąpiono w 1944 roku do wznoszenia parterowego obiektu, w którym zamierzano uruchomić dwie komory gazowe. Zabijanie gazem mordercy uznali za najbardziej ekonomiczne i bezpieczne. Komory te miały pomieścić około 120 ludzi równocześnie. Aby jednak uzyskać wysoką wydajność w gazowaniu, zastosowano w projektach szereg ulepszeń technicznych, które miały gwarantować dużą sprawność urządzeń. Projekty nie zostały zrealizowane. Pracowano tak opieszale, że władze Wehrmachtu zarekwirowały na cele wojenne nie wykorzystany przydział cegieł, aż wreszcie między administracją obozu a władzami w Berlinie zaczęły krążyć ponaglenia, wnioski i monity. Tymczasem zbliżał się front.

Komór gazowych nie oddano do użytku, ale i bez nich obozowe krematorium dymiło bez przerwy. Od czasu, gdy przybył pierwszy transport, a na zboczu wzgórza wycięto krzewy i stratowano zieleń, każdego dnia umierali ludzie, zameęczeni głodem, tempem pracy w kamieniołomach i filiach obozu.

A komendant?

Nad dołem z prochami kazał postawić ławeczkę i posadzić czereśnię. W pogodne popołudnia siadywał nad kupą popiołu w cieniu drzewka i o czymś myślał. Do dnia dzisiejszego na terenie obozu stoi ta ławeczka, a czereśnia rodzi dorodne owoce. Nikt ich jednak nie zrywa.

# PRZEMOC I ŚMIERĆ KAŻDEGO DNIA



**Ż**ycie za drutami obozu Gross-Rosen było nie tylko nieustannym dramatem osobistym więźniów skazanych na śmierć, lecz walczących o wytrwanie, ale także szarą, makabryczną codziennością. W obozowym życiu dzień dzisiejszy podobny był do wczorajszego i tylko przyszłość była niejasna, mglista i złowroga. Codziennosc — to dziesiątki powtarzających się czynności porządkowych, rozkazów, ciągły krzyk esesmanów i nadzorców w czasie pracy, apele, bicie i maltretowanie. Najdziksze okropności stawały się zjawiskami normalnymi. Nawet śmierć traktowano w ten sposób. Skrajnym, lecz dobitnie ilustrującym ten stan rzeczy przykładem może być pożegnanie towarzyszy przez więźnia odchodzącego do krematorium: „Do zobaczenia na półce w mydlarni”.

Codziennosc egzystencji obozowej, nadająca grozie rysy powszedniości, w zasadniczy sposób przewartościowała tradycyjne pojęcia o człowieku: nie wiadomo, do czego jest zdolny, nie wiadomo, do czego można go doprowadzić.

Normalnym zjawiskiem była praca, dziesiątkująca każdego dnia więźniów. Piece krematorium nie mogły wygasnąć. Gdyby zdarzył się dzień, że nikt nie zmarł i nie został zamordowany, to i tak surowiec ludzki musiał być dostarczony do przerobu. Życie więźniów o każdej godzinie dnia i nocy było zagrożone.

Do wydarzeń i zjawisk, które w dobitny sposób wpływały na „zakłócenie” monotonii obozowej, należały m. in.: wymordowanie jeńców radzieckich w 1941 r.; wielki głód, który zawsze towarzyszył więźniom, a w latach 1941—1942 doprowadził do kanibalizmu; karna kompania Vogla w bloku 19, zwanym „hotelem śmierci”, i wielkanocna niedziela 1943 roku. Wreszcie egzekucje, samobójstwa, ucieczki z obozu, paczki i korespondencja.

Władze wojskowe Niemiec hitlerowskich od początku wojny deptały prawo międzynarodowe. W czasie kampanii wrześniowej Wehrmacht dopuścił się ciężkich zbrodni na polskich jeńcach wojennych. Znane są pojedyncze i masowe rozstrzeliwania, palenie żywcem, jeżdżenie czołgami po rzuconych na ziemię ciałach. Liczba tych zbrodni zwiększyła się znacznie w czasie wojny ze Związkiem Radzieckim. Na kilkanaście dni przed agresją na ZSRR — 8 czerwca 1941 r. — dowódca OKH (Oberkommando des Heeres — Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych) feldmarszałek Brauchitsch przekazał dowódcom armii do wiadomości i wykonania „Rozporządzenie o komisarzach”. Ten bezprzykładowy w dziejach wojen dokument głosił wprost: „Komisarzy nie uznaje się za żołnierzy; ochrona prawna zgodnie z prawem narodów należna jeńcom nie ma w stosunku do nich żadnego zastosowania. Po odizolowaniu komisarzy należy ich zlikwidować” \*.

Każdy oficer i żołnierz niemiecki na froncie wschodnim znał ten rozkaz i zdawał sobie sprawę z jego przestępczego charakteru. Na podstawie tego i innych rozporządzeń wymordowano tysiące jeńców radzieckich. Jesienią 1941 r. likwidowano ich na obszarach operacyjnych, a całe transporty szły na stracenie do obozów zagłady.

Wbrew przepisom prawa międzynarodowego wziętego do niewoli skreślano z listy jenieckiej i pozbawiając go w ten prosty sposób statusu jeńca wojennego — przekazywano w ręce Sipo (Sicherheitspolizei), która kierowała go do obozu koncentracyjnego z przeznaczeniem do robót albo natychmiastowej egzekucji.

---

\* Cyt. za: Sz. Datner, *Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych armii regularnych w II wojnie światowej*, Warszawa 1961, s. 101.



16 i 17 października 1941 r. do Gross-Rosen przybyły dwa transporty jeńców radzieckich ze Stalagu 318 w Lamsdorf (Łambinowice około Opola).

Przyjęcie transportu: a więc sporządzanie protokołu, strzyżenie, dezynfekcja i kąpiel, trwało bardzo długo. „Cała ta operacja trwała przez trzy dni, przy czym więźniowie musieli stać nago pod gołym niebem, tak w dzień, jak i w nocy, dopóki kolej na nich nie przyszła. Z tego transportu wielu zmarło na placu. Zapisywanie więźniów odbywało się czasem przed kąpielą, w stroju adamowym, a czasem po kąpieli, również nago lub w ubraniu, zależało od humoru esesmanów” \*.

W trzech barakach (8, 9 i 10) osadzono 2500 ludzi. Teren odgrodzono od reszty obozu drutem kolczastym. Funkcje kapo, blokowych i sanitariuszy powierzono jak zwykle niemieckim kryminalistom, i to tym, którzy dali się poznać w obozie jako bezwzględni mordercy. Pokazali zresztą, na co ich stać, już podczas przyjmowania transportu — z zimną krwią zamordowali kilkudziesięciu jeńców. Resztę zapędzono do baraków.

Jeńcy nie mieli naramienników ani odznak, byli wycieńczeni, brudni i zarośnięci. Przydzielono im racje żywnościowe o połowę mniejsze niż pozostałym więźniom obozu. W myśl zarządzenia OKW (Oberkommando der Wehrmacht — Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych) z dnia 6 sierpnia 1941 r. każdy jeńiec powinien na okres 28 dni otrzymać 6 kg chleba, 400 g mięsa, 440 g tłuszczu i 600 g cukru. Pożywienie jeńców radzieckich składało się z mąki z wodą i brukwią. Puchli więc, ślaniali się na nogach, umierali. Najsilniejszych zapędzono do pracy w kamieniołomie. Każdego dnia towarzysze przynosili na ramionach kilkunastu zamęczonych. Oprócz tego roz-

---

\* Relacja Józefa Dolińskiego w Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. 69 ob.

strzeliwano ich. 23 października dokonano egzekucji na 20 jeńcach.

Minął październik, nadszedł listopad i grudzień. W obozie wybuchła epidemia tyfusu. Obozowi lekarze, m. in. Albert Layer, uśmiercali chorych i podejrzanych o chorobę zastrzykami fenolu, truli podawanymi doustnie substancjami. Ponieważ w tym czasie w obozie krematorium chwilowo nie działało, zwłoki transportowano do Legnicy. Tam palono je w przycementarnym piecu. 15 grudnia np. spalono zwłoki 46 jeńców, 18 grudnia — 106, a 30 grudnia — 256. Śmiertelność gwałtownie wzrastała.

W styczniu 1942 r., po przeglądzie dokonany przez komisję lekarską SS z prof. Heyde, przeznaczono na śmierć dużą grupę jeńców, chorych i niezdolnych do pracy. Morderstwa dokonali Kurt Babor i Fritz Kurze w asyście kryminalistów niemieckich — Georga Prilla, Krausego, Grabowskiego i Emila Radke. Przy życiu zostało 80 jeńców.

„Z tej grupy 2500 pozostało po 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miesiącach zaledwie 65. Większa część z nich została zamordowana przez podanie do picia jakiegoś płynu o skutkach piorunujących. Stabsscharführer Kurze, sanitariusz, przychodził do obozu i przynosił z sobą butelkę tego płynu, dobierał sobie do pomocy Niemców funkcyjnych i dawał pić jeńcom sowieckim w grupach po kilkadziesiąt osób. Po wypiciu płynu pomocnicy Kurzego wpychali delikwenta na dziedziniec za blok. Denat natychmiast ginął. Zdarzały się jednak wypadki, że silni ludzie budzili się w nocy i błąkali po obozie. Tych dobijano lub wrzucano do pieca” \*.

Każdego dnia od sierpnia do grudnia 1941 roku między godz. 18 a 19 przywożono najpierw jednym, a po-

---

\* Tamże.

tem dwoma samochodami kilkudziesięciu oficerów radzieckich. Każdego dnia rozstrzeliwano ich pojedynczo i natychmiast spalano w krematorium polowym. Bywały też transporty liczniejsze. Np. 17 grudnia 1941 r. przyślano na rozstrzelanie 180 jeńców wojennych, prawdopodobnie oficerów z obozu jenieckiego.

W marcu po zniesieniu kwarantanny bloki nr 8 i 9 ponownie włączono do obozu. Kilkudziesięciu pozostałych przy życiu jeńców umieszczono w bloku 10. W połowie czerwca żyło jeszcze około 50 z nich. Obóz został zlikwidowany, a niedobitki rozmieszczone w blokach. Przybywały jednak nowe transporty jeńców radzieckich.

„Pod koniec roku 1942, kiedy rozstrzygał się los armii marszałka Paulusa, lagerführer Anton Thumann zamknął stu Rosjan w umywalni bloku i kazał swym pomocnikom wypuszczać ich po jednym. Sam stanął pod drzwiami i jakimś krótkim a ciężkim narzędziem — może młotkiem, może obuchem siekiery, trudno mi było z daleka rozpoznać — rozbijał wychodzącym czaszki. Pomagał mu w tym blockführer Eschner. W jednej takiej zabawie pozbawionych zostało życia stu Rosjan za to tylko, że byli Rosjanami, a inni Rosjanie zwyciężali pod Stalingradem” \*.

\* Jak się oblicza, w Gross-Rosen wymordowano około 17 000 jeńców wojennych, w tym ponad 13 000 oficerów radzieckich i 2500 żołnierzy. Zgładzono tutaj także kilkuset żołnierzy i oficerów włoskich oraz pewną ilość oficerów francuskich i lotników angielskich.

Jedną z najokrutniejszych udręk codziennego życia obozowego był głód. Systematyczne głodzenie cięż-

---

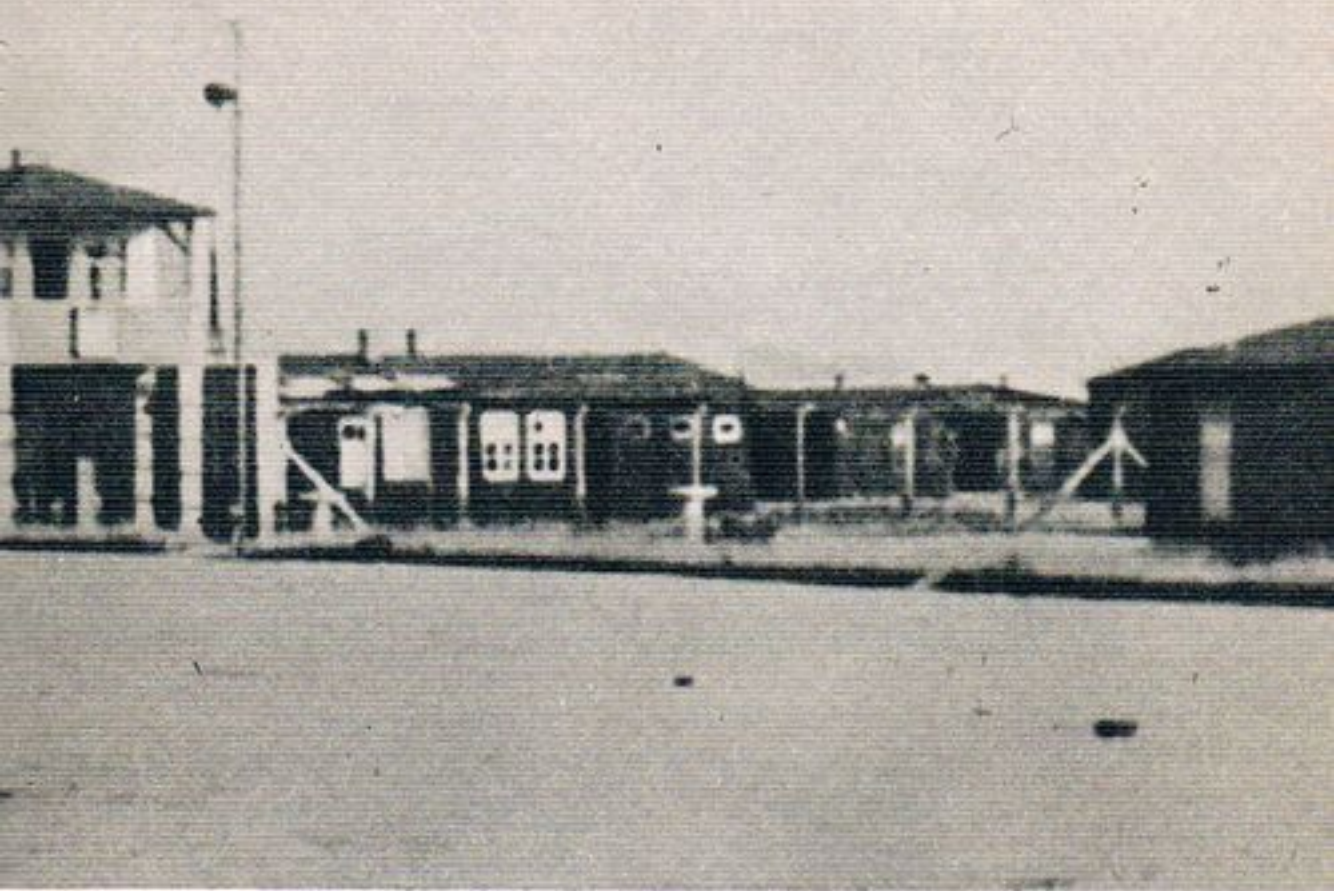
\* Gładysz, op. cit., s. 193.



**Obelisk na terenie Jelczańskich Zakładów Samochodowych odsłonięty 21 I 1965 r.  
ku czci zamordowanych więźniów Gross-Rosen pracujących przy budowie  
zakładów przemysłu zbrojeniowego.**



**Widok ogólny obozu**



**Pierwsze  
roboty ziemne  
przy budowie  
obozu. 1940 r.**





**Druty wysokiego napięcia.  
Stan niekompletny  
z roku 1962**

Brama wjazdowa  
obozu Gross-Rosen





„Droga śmierci”



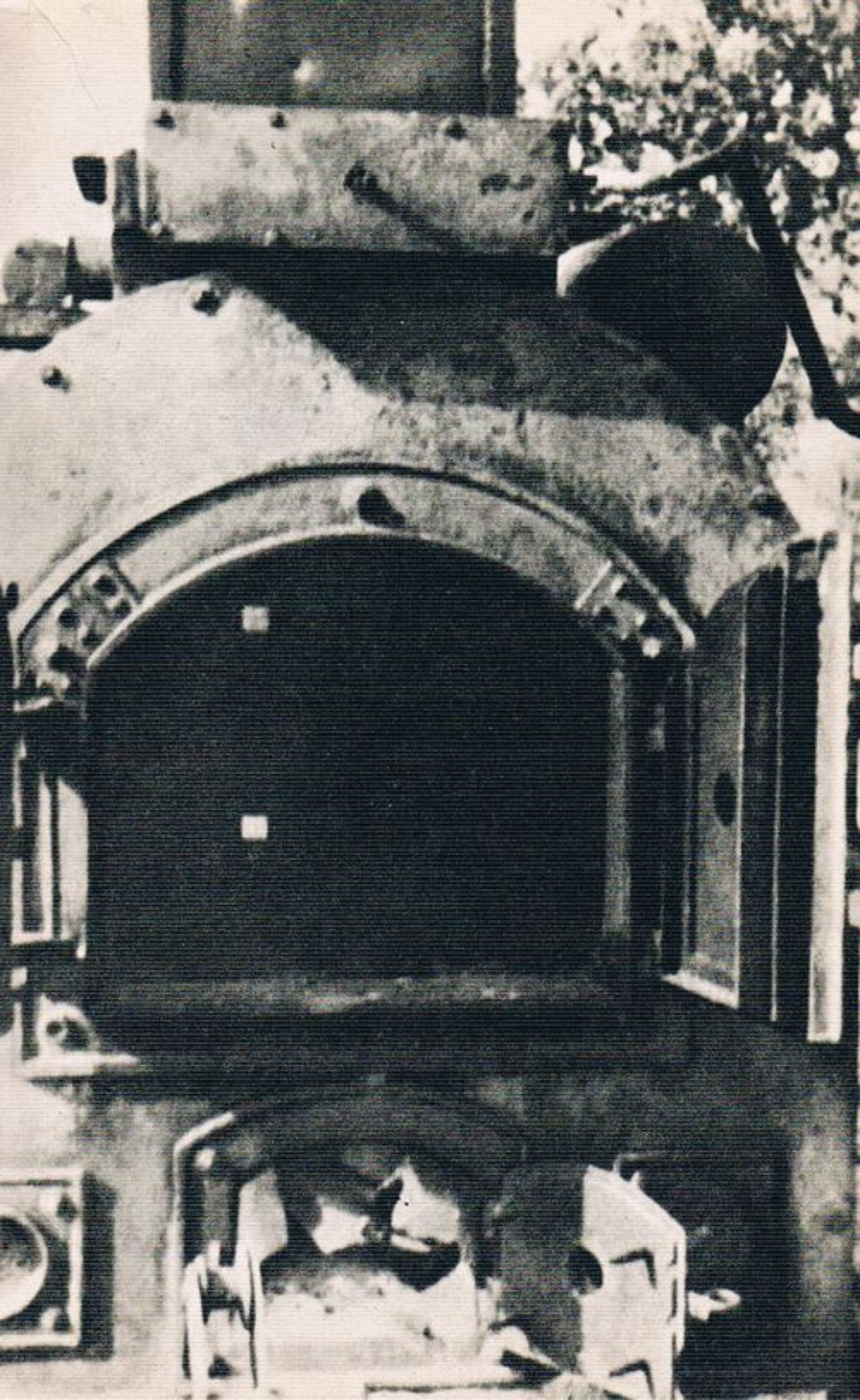
Gong na placu apelowym.  
Zdjęcie powojenne





**Plac apelowy**

**Piec krematoryjny**





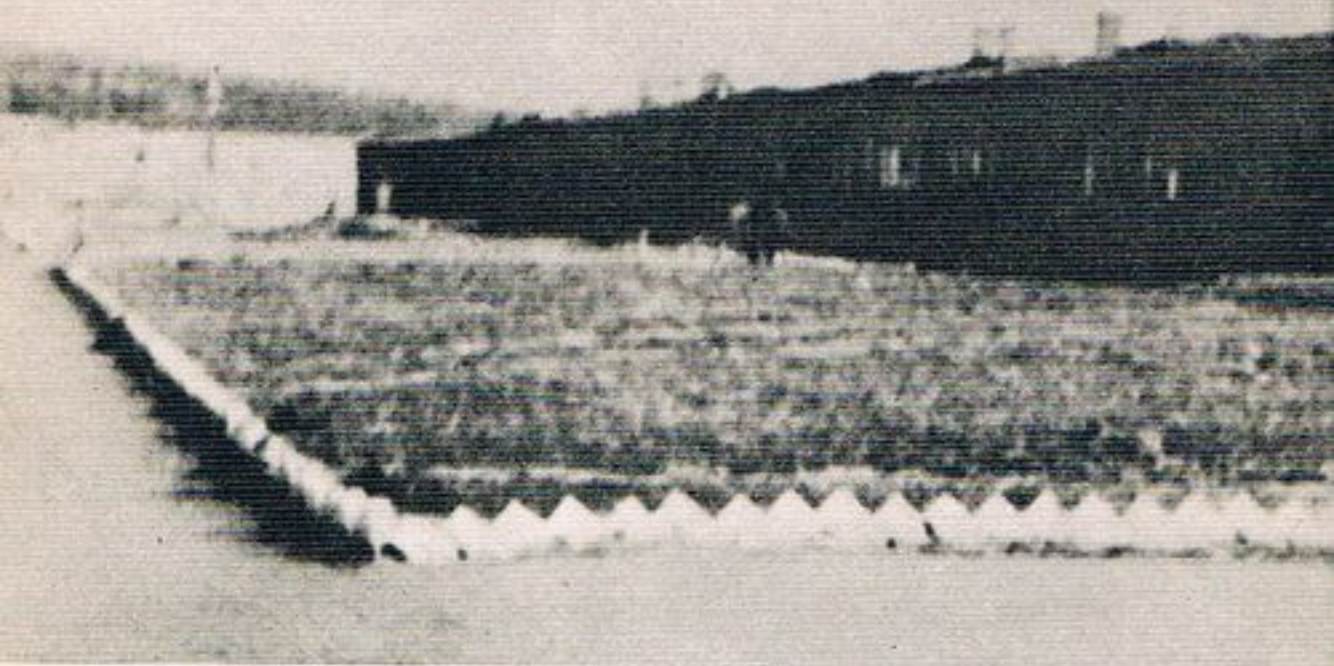
**Fragment krematorium polowego w Gross-Rosen**

**Komin nowego krematorium**





Samobójstwo w kamieniołomach



Baraki obozu Gross-Rosen

Blok 19 — „hotel śmierci”





**Widok ogólny obozu w pierwszych latach po wyzwoleniu**

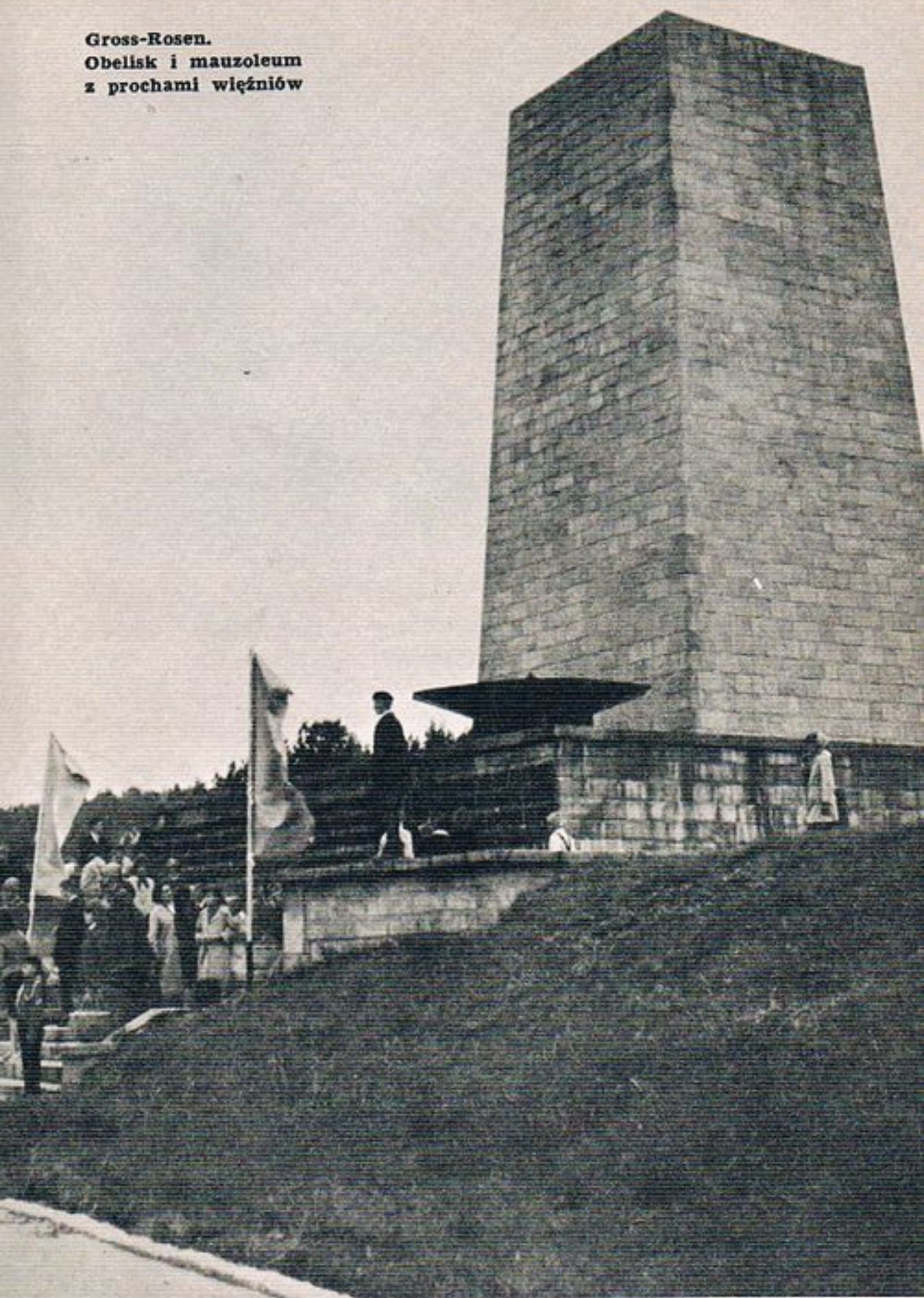


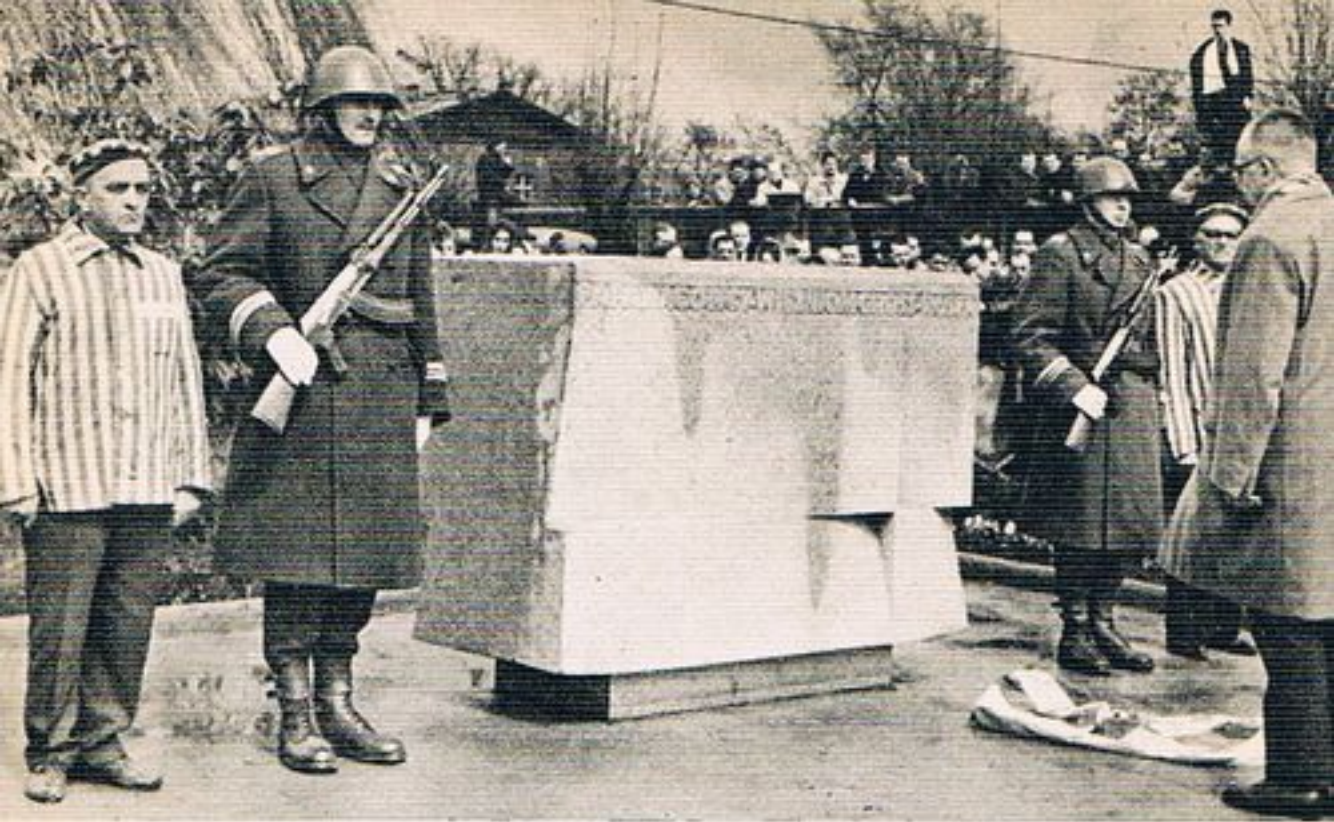


Zwłoki więźnia  
przykutego łańcuchem



**Gross-Rosen.**  
**Obelisk i mauzoleum**  
**z prochami więźniów**





**Obelisk na dziedzińcu „Pafawagu” we Wrocławiu,  
odsłonięty 24 IV 1965 r.  
ku czci pomordowanych  
na tym terenie więźniów Gross-Rosen**

**Obelisk na terenie zakładów chemii organicznej  
„Rokita” w Brzegu Dolnym, odsłonięty 1 IX 1965 r.  
ku czci zamordowanych tu więźniów Gross-Rosen**



ko pracujących więźniów było najskuteczniejszą metodą doprowadzania ich do śmierci.

Dzienna wartość odżywcza posiłków w Gross-Rosen wahała się w granicach 500—800 kalorii, podczas gdy powszechnie przyjęte normy dla człowieka pracującego wynoszą 3600—4800 kalorii. Te 500 czy 800 kalorii to pół litra brukwi z wodą na śniadanie, niepełny litr brukwi z wodą na obiad i pół litra brukwi z wodą na kolację. Czasem brukiew zastępowano zgniłą kapustą, szpinakiem, pokrzywami lub liśćmi buraczanymi. Okrasą tej wasserzupki była kilogramowa kostka margaryny wrzucana — jeśli nie ukradł jej jakiś esesman — do kotła, w którym mieściło się 500 porcji. Czasami zupę obiadową dla całego obozu gotowano na ćwiartce lub połowie zdechłego konia.

W czasie wielkiego głodu w 1941 r. więźniowie jedli chwasty, zbierali łupiny, grzebali w śmietnikach, daremnie szukając jakichkolwiek odpadków nadających się do jedzenia lub żucia. Miesięczny ubytek na wadze u nowo przybyłych sięgał 20 kg! Słaniali się na nogach, chodzili trzymając się ścian lub ramion silniejszych towarzyszy.

Trudno powiedzieć, czy bardziej rozpaczliwe jest konanie z głodu w pojedynczej celi, czy powolne umieranie w wielkich zbiorowiskach. Głód w zorganizowanych społecznościach ludzkich jest o tyle groźniejszy, że prawie zawsze prowadzi do przestępstwa — do wzajemnego okradania się, a nawet zbrodni.

Więźniowie byli osłabieni głodem, czuli ssanie w żołądku, całą nadzieję wiązali z czymś, co nadaje się do jedzenia. Rozmawiano o świątecznych stołach, struclach, słodyczach, kielbasie i jajecznicy na boczku.

Latem 1942 roku robiono zupę z pokrzyw i liści buraków pastewnych. Na terenie obozu nie rósł już ani jeden listek lebiody. Więźniowie wyrywali każde źdźbło

trawy, grzebali w śmieciach, przy kotłach tracili panowanie nad sobą — przepychali się, tratowali jedni drugich, aby zerwać strzępy liści pozostałe na ścianach kotłów, z których rozdano już zupę.

W tych warunkach śmierć zbierała bogate żniwo, szybko postępowało tzw. „muzułmanienie” więźniów.

Zjawisko to występowało w obozie ciągle, natomiast późną jesienią i zimą przybierało rozmiary katastrofalne. Na polach, w ogrodach, na drzewach i krzewach nie było nic, co można byłoby ukradkiem zerwać i zjeść. Zaczynały się słoty, deszczowe szarugi, mgły. Wygłodzeni więźniowie zaczynali puchnąć. Najpierw nabrzmiwały palce i stawy u nóg, potem puchła twarz, bolały kości rąk. W czasie selekcji w pierwszej kolejności odsyłano do krematorium najsłabszych, którzy nie mogli już chodzić.

Płynęły dni głodu, wygasiała wola przetrwania. Najmniej odporni tracili resztki sił, poruszali się jak w transie. Chodzili jeszcze o własnych siłach, lecz w świadomości ich zachodziły dziwne zmiany. Zacierały się granice między rzeczywistością i snem. Jeszcze próbowali się bronić, jeszcze reagowali na niebezpieczeństwa, ale szybko przychodził kryzys. Zapominali swych imion i adresów najbliższych, własnych numerów obozowych. Przystawali chodzić i czołgali się na kolanach. Nie próżnowali jednak. Obierali kartofle, zbierali słomki i jesienne liście na drogach obozu. Były to szkielety obciążone skórą, o zapadłych twarzach i płonących oczach.

Polowanie na muzulmanów było ulubionym zajęciem komendanta Thumanna. Prawie każdego dnia wychodził na teren obozu z psem. Kiedy odchodził, kilku muzulmanów dogorywało na wyzwirowanych ścieżkach obozu.

Najwięcej muzułmanów rekrutowało się spośród więźniów ukaranych dodatkową, karną pracą. Do robót tych kierowano za znalezienie papierosa, ołówka, scyzoryka, a nawet za niezbyt energiczne poruszanie się po obozie. Wysokość kary wahała się w granicach 3—4 tygodni. Każdego dnia kilkudziesięciu ukaranych więźniów stawano do morderczej pracy. Trwała ona około trzech godzin. Nadzorcy robili wszystko, aby więzień w tym czasie nie wyprostował pleców, nie zwolnił kroku, nie otarł potu z czoła, nie napił się wody. Przenoszono z miejsca na miejsce ciężkie kamienie, worki z cementem, deski. Roboty karne wykonywano wieczorem lub w nocy, po całodziennej, normalnej pracy. Odbywały się pod nadzorem kapów i esesmanów, których nazwiska już budziły grozę: Vogel, Jerzak, Juchalek, Galatsch, Klitsch. Śledzili każdy ruch więźnia. Nie było żadnej okazji do bodaj chwilowego odpoczynku. Więźniowie po ciężkiej, całodziennej pracy zamieniali się w automaty wykonujące określone czynności. Tracili zdolność rozumowania i kierowali się raczej instynktem samozachowawczym. Nakazywał on, że nie wolno reagować na bicie. Jeżeli uderzony kijem więzień wypuścił z rąk kamień albo worek z cementem, był bity do utraty przytomności za sabotaż w czasie pracy i odsyłany na rewir albo wprost do krematorium.

Każda godzina była walką o życie. O godzinie 22.00 więźniowie kończyli pracę. W przyklepionych do ciała pasiakach, brudni i wyczerpani, wracali do bloków. Nie mogli się umyć, bo o tej porze nie było już dostępu do kranów z wodą. Mieli poranione ręce, sińce na ciele. Nie jedli kolacji, bo w czasie ich nieobecności porcje ich kradli funkcyjni. Kładli się do krótkiego snu. Rano czekały ich dodatkowe kary za nieprzestrzeganie czystości. Pracowali także w niedziele, a popo-

Łudnia niedzielne przeznaczone były na czyszczenie i reperację pasiaków. Każdego dnia sypały się nowe kary. Jedni zamieniali się w muzułmanów, innym przedłużano dodatkowe roboty lub kierowano ich do karnej kompanii.

Obóz koncentracyjny Gross-Rosen był doskonale zorganizowaną, działającą metodycznie machiną uśmiercania ludzi. Umierali każdego dnia z głodu, z zimna, zabijała ich praca, kule, baty dozorców, choroby i fenol, śnieg, deszcz i słońce.

A jednak i w tych warunkach esesmani potrafili zorganizować coś, co budziło grozę w więźniach, przecież na co dzień oswojonych ze śmiercią. Była to osławiona kompania karna. Wydzielano ją z grupy robót karnych i umieszczano w bloku 19.

Do kompanii karnej kierowano wybitniejszych więźniów — studentów, intelektualistów, działaczy społecznych, politycznych, jeżeli istniało podejrzenie, że przejawiają aktywność i prowadzą w obozie jakąkolwiek działalność. Ponadto przekazywano tam więźniów podejrzanych o chęć ucieczki, za próbę stawiania oporu blokowemu, za uderzenie więźnia narodowości niemieckiej itp. Kompania karna, zorganizowana na wzór karnych kompanii SS, terroryzowała cały obóz niesamowitym tempem i metodami uśmiercania. Tam nie liczono życia na miesiące i tygodnie — w bloku 19 można było wytrzymać kilkanaście godzin, najwyżej kilka dni.

Oprawcą był znany w całym obozie Kurt Vogel, bandyta i sutener, prawa ręka esesmanów. Pełnił funkcje sztabowego, następnie zaś blokowego. Początkowo prowadził także roboty karne wewnątrz obozu. Rozbes-

twiony, pozbawiony jakichkolwiek skrupułów w zadawaniu śmierci, szczególnie pastwił się i znęcał nad więźniami oznaczonymi czerwonym trójkątem. Za najmniejsze uchybienie, najczęściej bez powodu, stosował ćwiczenia karne, które prawie zawsze kończyły się śmiercią ofiary. Politycznym więźniom niemieckim udało się wreszcie poprzez kalifaktora Hansa Dicka, sprzątającego pomieszczenia komendanta obozu, złożyć taki donos na Vogla, że skierowano go do ciężkich robót. Cały obóz odetchnął.

Kiedy jednak zorganizowano i umieszczono w osobnym bloku kompanię karną, rapportführer przypomniał sobie Vogla i jego umiejętności. Powierzono mu znów funkcję blokowego. Niektórzy z więźniów sądzili, że ciężkie roboty wzbudziły w nim przynajmniej cień człowieczeństwa, jakiś odruch współczucia wobec współwięźniów. Jednak Vogel, tak jak poprzednio, mordował na zimno, powoli i metodycznie. Ze spokojną twarzą, bez zmrużenia oka, do końca patrzył, jak gaśnie życie torturowanej ofiary. Pewnego dnia w czasie apelu Vogel, idąc wzdłuż wyrównanych szeregów, nagle zatrzymał się przed więźniem i bez słowa kopnął go tak silnie w nogę poniżej kolana, że strzaskał kość. Drzazgi przebiły skórę. Oprawca rozkazał wtedy więźniowi biec do bloku. Innym razem tak zbił więźnia po twarzy, że ten tak opuchł, iż nic nie widział. Wtedy Vogel ustawił go pod tarczą, a esesmani rzucali do oślepionego kamieniami. Gdy mdlał, polewali go wodą i znowu stawiali pod tarczą, wreszcie jakiś dostatecznie duży i celnie rzucony kamień rozbił czaszkę ofiary.

Vogel był specjalistą od załamywania butami klatek piersiowych, bicia po jądrach, duszenia za pomocą kija położonego na gardło. Wieczorami do bloku 19 przychodzili funkcyjni i esesmani na pokazowe torturowanie więźniów.



Więźniowie kompanii karnej pracowali szesnaście godzin dziennie. Pracowali w milczeniu, poruszać musieli się tylko biegiem. Niektórych już pierwszego dnia towarzysze przynosili na ramionach. Niektórych wieczorem wykańczał Vogel. Reszta następnego dnia szła do pracy. Już rankiem wiadomo było, że najslabsi nie wrócą. Zdarzało się, że nie jedli śniadania: dawali je silniejszym od siebie, aby ci chociaż przetrwali.

Kalendarz obozowy pierwszych miesięcy 1943 roku nie przynosi żadnych wyjątkowych wydarzeń. Na początku roku oddano do użytku trzypięcowe krematorium, w którym spalanie odbywało się „na sucho” — za pomocą żaru koksowniczego. Już nie jedno albo dwa ciała można było spalać równocześnie, lecz dziewięć w ciągu trzech do pięciu minut.

Dopiero wielkanocna niedziela tego roku miała pozostać na zawsze w pamięci więźniów. Tego dnia nie zapędzono ich do pracy w sztolniach kamieniołomu. Kilka tysięcy ludzi skierowano w stronę krematorium, pod wysoką hałdę popiołu. Mieli rozsiewać na pobliskich polach prochy spalonych kolegów. Wszystkim kazano zdjąć bluzy, rękoma nagarniać w nie popiół i biegiem wynosić na pola.

Kiedy wokół kościołów chrześcijańskich szły wielkanocne procesje głoszące śpiewem zwycięstwo życia nad śmiercią, w Gross-Rosen urzeczywistniało się w dosłownym sensie to, co przywódcy od lat obiecali narodowi niemieckiemu: na polach rozsypywano popiół ciał Polaków, Rosjan, Francuzów.

Pogoda była słoneczna. Siewcy sięgali garściami do tobołów z własnych bluz i kalecząc palce o resztki nie dopalonych kości rzucali w ziemię krwawy, spopielały siew.

Esesmani tłukli więźniów kijami po grzbietach i ze swoistym poczuciem humoru powtarzali, że spaleni i rozsiani w tak uroczysty dzień — zmartwychwstaną w postaci rzodkiewek i brukwi dla bydła. Bili wówczas z taką wściekłością, że zakatowali ponad dwustu więźniów. O godzinie 11 popioły były już rozsiane.

Więźniów zapędzono teraz do przenoszenia kamieni z miejsca na miejsce. O 13 zбитych do krwi, brudnych, spoconych musztrowano na placu apelowym. O 13.40 wydano zupeę z brukwi. Wielu ukarano dodatkowymi robotami i skierowano do kompanii karnej.

W pobliżu obozowego krematorium znajdowała się ściana śmierci — wał ziemny o zboczu umocnionym palikami — przy której rozstrzeliwano więźniów.

Więźniów zarejestrowanych w kartotekach obozu i skazanych na śmierć przez gestapo mordowano za pomocą zastrzyków fenolu lub benzyny. Egzekucji przez rozstrzelanie dokonywano na więźniach nie zarejestrowanych w obozie. Byli to oficerowie radzieccy, lotnicy angielscy, żołnierze włoscy, a także osoby cywilne.

W roku 1942 przerwano systematyczną akcję rozstrzeliwania jeńców, ale każdego miesiąca przybywał transport, który kierowano pod ścianę śmierci.

Śmiertelność w obozie była wysoka. W październiku 1942 r. odnotowano 844 zgony, w pierwszej połowie listopada — 426. Straconych pod ścianą śmierci nie rejestrowano. Podobnie było w latach następnych.

W grudniu 1943 roku nadszedł transport Polaków aresztowanych przez gestapo w okolicach Radomia i Kielc. Liczył 400 osób i określony został jako „Polnischer Banditen-Transport”. Byli to członkowie ruchu oporu i osoby z nim związane.

Długie są listy rozstrzelanych. Obejmują setki nazwisk. Czasem zachowały się tylko numery obozowe lub daty urodzenia straconych.

Praca, terror i głód doprowadzały więźniów do katastrofy psychicznej. Strach połączony z obawą o dzień dzisiejszy i brak jakiejkolwiek nadziei na najbliższą przyszłość obezwładniał wolę walki i przetrwania. Śmierć jako ciągła groźba, czyhająca na każdym kroku i w każdej sytuacji, przestała mieć cechy szczególnego wydarzenia. Więźniowie w codziennych rozmowach mówili o „pójściu przez komin na wolność”. Szczególnie dotkliwa była samotność. Pomimo życia w obozie, w zatłoczonych do niemożliwości barakach, czuli się osamotnieni. Wpływało to z przeświadczenia, że w końcowym rozrachunku — wtedy, kiedy trzeba będzie stanąć wobec ostatecznego zagrożenia, jakim jest śmierć — nie można liczyć na żadną pomoc nawet ze strony najbardziej życzliwych przyjaciół. W momencie gdy esesman wyciągał więźnia za kołnierz z szeregu i zabierał się do katowania, nawet najbliższemu przyjacielowi nie drgnęła twarz. Musiał patrzeć, milczeć i pamiętać.

Jeśli o przyszłości myśleli w sposób mglisty i niewyraźny, to niepewność najbliższych godzin wywoływała w psychice więźniów taki stan, że wielu z nich wybierało śmierć dobrowolną. Szli na druty wysokiego napięcia, w kierunku linii esesmańskich posterunków, skakali w sztolnie kamieniołomu.

„Z czasem przyzwyczailiśmy się do obrazu zmasakrowanych ludzi, nie wytrzymujących głodu, bicia i potwornie ciężkiej pracy. Coraz częściej rzucali się ludzie w głęboką przepaść kamieniołomu, rzucali się na druty wysokiego napięcia, odbierali sobie życie. O samobój-

stwach z czasem nie mówiło się nawet w obozie, bo stały się powszechnie spotykanym zjawiskiem, na każdym kroku i o każdej porze. Ludzie tu ginęli lub stawali się twardzi jak kamienie. Innej drogi nie było [...] Z czasem przestały mnie te wypadki wzruszać. To nie brak sumienia i niezdolność rozróżniania dobra od zła, ale naiwna miękkość ludzkiego serca kazała dziwić się złu i zbrodnię uważać za pomyłkę lub przypadek, zaś w zbrodniarzu widzieć nieszczęśliwego człowieka. Z nią nie można obozu przetrwać. Nosiliśmy zmarłych, którzy zostali zbici na miazgę. Widzieliśmy trupy na drutach wysokiego napięcia. Każdego dnia ocieraliśmy się o nieżywego wiszącego na drzwiach, na okiennicach, na szubienicy. To z czasem przestało na nas działać. Zdejmowano ich z okien i drzwi i przenoszono do krematorium i składano na pryzmę dziesiątek ciał. Człowiek w obozie stracił wszystko, stracił i wrażliwość. Śmierć przyjmował z obojętnością” \*.

Więźniowie zdecydowani odebrać sobie życie szli najczęściej na linię uzbrojonych posterunków. Ten rodzaj śmierci popularnie nazywano pójściem „na posta”. Niektórzy, najbardziej wyczerpani, szli wolnym krokiem na chwiejnych nogach, czasem klękali i zdejmując czapkę, czekali na strzał esesmana. Inni, silniejsi, szli wyprostowani, szybkim krokiem, przed przekroczeniem linii posterunków machali dłonią, zegnali współtowarzyszy, jakby udawali się w niedaleką podróż. Było kilka miejsc, w których więźniowie najchętniej szli „na posta”. Ci z komanda Steinbruch upodobali sobie prześliczną polankę pod laskiem u podnóża kamieniołomów. Inni szli w kierunku posterunków strzegących ukwieconej łąki nad strumykiem. Wstrząsająca była śmierć 9 oficerów francuskich. W sierp-

---

\* Tamże, s. 110.

niowe południe zjedli obiad i równym szeregiem poszli wprost na druty.

Najbardziej dramatyczne były jednak samobójstwa tych, którzy wybierali śmierć w sztolniach kamieniołomu. Więzień stawał na tle nieba na krawędzi pionowej ściany granitu. Wszyscy na moment przerywali pracę i wtedy skakał z rękoma rozrzuconymi jak do lotu albo z głową do dołu jak przy skoku z trampoliny. Popełniano również samobójstwa przez powieszenie się na łożku, na klamce, na drzwiach, wielu rzucało się na szyny pod koła lor wypełnionych kamieniami.

Samobójstwa były aktem depresji doprowadzonych do ostateczności więźniów, jednocześnie zaś wyrazem bezgranicznej pogardy dla oprawców.

Nieliczni z więźniów ryzykowali ratowanie życia poprzez ucieczkę z obozu.

W lutym 1942 r. dwaj radzieccy inżynierowie postanowili przejść przez zasieki. Wybrali miejsce za blokiem 4. Operacja wymagała zimnej krwi i żelaznych nerwów. Uciekinierzy zamierzali sforsować ogrodzenie idąc po izolatorach prądu. Jeden źle obliczony ruch, najmniejsza utrata równowagi groziły dotknięciem naelektryzowanych drutów. Byli już po drugiej stronie, gdy rozległy się serie automatów. Zdarto z nich odzież i pozostawiono. Leżeli tak przez tydzień. Każdego dnia więźniowie w marszowych kolumnach musieli defilować przed nimi. Władze obozu chciały w ten sposób odstraszyć następnych ewentualnych śmiałków.

Dramatyczny przebieg miała ucieczka młodego, 20-letniego Polaka. Do obozu trafił jesienią 1942 r. za ucieczkę z robót przymusowych w Niemczech. Już po

siedmiu dniach pobytu w Gross-Rosen zdecydował się uciec. Kilka minut przed apelem porannym zarzucił namoczony płaszcz na druty. Nastąpiło spięcie, zgasły światła nad ogrodzeniem. Wartownicy z wież strażniczych skierowali na druty światła reflektorów, otworzyli ogień do wiszącego płaszcza. Tymczasem uciekinier pobiegł pod wieżę strażniczą i przedostał się przez druty. Do płaszcza kierowano wciąż ogień z karabinów maszynowych. Kiedy zaczęły sypać się strzepy, a łachman nie przypominał ciała ludzkiego, esesmani podeszli do ogrodzenia. Wściekłość ich nie miała granic. Zarządzono apel. Specjalnie zorganizowane drużyny ruszyły na poszukiwanie zbiega. Rozszczękały się psy esesmańskie. Pomagała też okoliczna ludność i młodzież z Hitlerjugend. Płynęły godziny.

Tego dnia zamordowano ponad 100 więźniów, nie wydano nikomu jedzenia.

Uciekiniera nie schwytano. Władze obozowe ukarały wszystkich więźniów tygodniowymi ćwiczeniami karnymi. Stawano do nich z determinacją, ale równocześnie z nadzieją, że świat dowie się prawdy o Gross-Rosen.

Minęły dwa tygodnie. Jeszcze komentowano przebieg ucieczki, gdy pewnego dnia podczas apelu na obozowej drodze ukazał się uciekinier. Szedł w stroju kłowna. Na piersiach miał zawieszoną tablicę z napisem: „Hura! Jestem znów między wami!” Okazało się, że do obozu powrócił dobrowolnie. Niemcy zastosowali wobec najbliższej i dalszej jego rodziny tak nieludzkie represje, że zdecydował się wrócić, choć wiedział, co go czeka. Po przedefilowaniu przed więźniami rozciągnięto go na specjalnym stole, tzw. „sznurboku”, nałożono na nogi dyby i wymierzono chłostę specjalnym pejczem. Zazwyczaj kara chłosty kończyła się śmiercią. Tym razem stało się inaczej. Nieszczęsnego uciekiniera skierowano

do karnej kompanii Vogla, który prawdopodobnie na specjalne zalecenie nie zamordował ofiary natychmiast. Torturował ją codziennie przez kilka tygodni.

W 1943 r. podjął próbę ucieczki pewien Rosjanin. Postanowił wydostać się na zewnątrz kanałem ściekowym. Ucieczka nie powiodła się, ponieważ wylot zabezpieczony był kratą żelazną.

Tą samą drogą latem 1944 r. poszli dwaj więźniowie niemieccy. Jeden z nich pracował w komandzie kanalizacyjnym, znał przejścia i ucieczka zakończyła się powodzeniem.

Spośród kilkunastu ucieczek z obozu Gross-Rosen prawie wszystkie skończyły się tragicznie. Złożyło się na to szereg czynników, rolę najważniejszą odgrywał jednak system nadzoru oraz wroga wobec więźniów postawa okolicznej ludności.

Obozowe wieczory i noce nie przynosiły więźniom upragnionego spokoju. Wieczorami pracowała kompania robót karnych. Vogel w „hotelu śmierci” wykańczał ofiary, dymiło krematorium, w kuchni szatkowano brukiew na dzień następny. Po apelu wieczornym funkcyjni zabierali się do swojej roboty. Żywność na dzień następny wydawano zgodnie ze stanem ilościowym więźniów na apelu wieczornym. Funkcyjni z racji zajmowanych stanowisk nie otrzymywali oficjalnie żadnych ekwiwalentów. Musieli zdobywać wszystko we własnym zakresie. Następnego dnia mogli przywłaszczyć sobie tyle porcji, ilu wykończonych więźniów odsyłali rano do krematorium lub na rewir. Po apelu i w nocy polowali na ofiary. Każdy donos sztabowego, kapo, pisarza blokowego dawał okazję do maltretowania. Jeśli zdarzyło się, że nie było żadnego powo-

du, blokowy wzywał pierwszego lepszego więźnia do umywalni i zmuszał do samobójstwa albo zabijał kilkoma uderzeniami styliska od łopaty.

Życie obozowe na każdym kroku dostarczało nieprawdopodobnej ilości wydarzeń, świadczących o dewaluacji wartości tradycyjnie uznanych za najwyższe. Brutalne przeliczenie wskazuje, że w Gross-Rosen życie ludzkie było warte mniej niż dwa litry wywaru z brukwi i 200 gramów czerstwego chleba. Mordowali esesmani wszystkich stopni z komendantem obozu włącznie, a czołowi intelektualiści Rzeszy głosili pogląd, że „naród niezdolny do gwałtu jest podejrzany o biologiczny upadek”.

Grozę w więźniach budziły skrytobójcze morderstwa dokonywane nocą. Otoczone mgiełką tajemnicy i nie-domówień, kazały się domyślać, że istnieją jeszcze porachunki i sprawy nie znane reszcie więźniów. Były to najczęściej porachunki zboczeńców seksualnych. W obozie wielu nosiło różowe trójkąty, którymi oznaczano różnego autoramentu zboczeńców. Homoseksualiści, dzięki powiązaniom z esesmanami o podobnych skłonnościach, tworzyli silną grupę, wywierającą wpływ na życie obozu. Wykorzystując to, szczególnie demoralizowali więźniów młodocianych.

Antyfeminizm był nie tylko specyficznym wytworem życia obozowego. Należał do zjawisk cechujących ruch narodowosocjalistyczny. W 1921 r. na pierwszym walnym zebraniu NSDAP podjęta została uchwała głosząca, że „żadna kobieta nie może być przyjęta do kierownictwa partii”. W Trzeciej Rzeszy kobiety, mimo przynależności do różnych organizacji hitlerowskich, nie miały wpływu na życie polityczne. W SS, uznanej za elitę narodu, kultywowano męskie koleżeństwo, wspólnotę opartą na przyjaźni. Esesmani rekrutowali się przeważnie z ludzi wyobcowanych ze swych środowisk.



Niezdolni byli do stworzenia trwałych związków rodzinnych. Wychowani w koszarach, na obozach sprawnościowych, szybko ulegali deprawacji. W obozie posiadali nieograniczoną władzę nad więźniami i mogli bezkarnie uprawiać swój proceder.

Wydarzeniem decydującym często o dalszym losie więźnia było nadejście paczki żywnościowej. Paczki można było otrzymywać od początku 1943 r. aż do wybuchu powstania warszawskiego.

Podczas apelu porannego wyczytywano listę więźniów, którzy mieli zgłosić się do kancelarii obozowej. Były dwie możliwości: albo zastrzyk fenolu i krematorium, albo paczka z domu. Skazanych na śmierć formowano w kolumnę i kierowano w stronę bloku 19. Tam dołączali skazańcy z karnej kompanii. Kolumnę odprowadzał do krematorium Vogel. Pozostali przed biurem szczęśliwcy szli po odbiór przesyłek. W czasie kontroli paczek rekwirovano oficjalnie około  $\frac{1}{4}$  zawartości do rzekomego podziału wśród wszystkich więźniów i na potrzeby rewiru. Ponadto otrzymujący paczkę musiał obdarować blockführera i jego pomocników. Resztę zatrzymywał dla siebie. Zostawało niewiele, ale i to było bogactwem. Przynajmniej raz można się było najeść i poczęstować współtowarzyszy. Z biegiem czasu wytworzyła się swoista arystokracja obozowych paczkowiczów. Stanowili ją więźniowie otrzymujący przesyłki dość regularnie z wysokogatunkowymi wędlinami i nabiałem. Uzależniali oni od siebie funkcyjnych. Nie chodzili do najcięższych prac, nie byli karani za nieprzestrzeganie higieny osobistej, nie dostrzegano w ich bieliźnie wszy.

Paczki były dobrodziejstwem wyłącznie dla tych, którzy otrzymywali je regularnie. Ci, którzy otrzy-my-

wali je od przypadku do przypadku, narażeni byli na różne niebezpieczeństwa. Kryminaliści i różnego afortamentu złodzieje i bandyci w zakamarku baraku czekali na powrót paczkowicza. Jeden niespodziewany cios wystarczył, by na korytarzu zginął człowiek, a paczka trafiła do rąk mordercy. Jeżeli bez tego rodzaju przygód udało się więźniowi wrócić do baraku, to i tak z paczki niewiele było korzyści. Trzeba było wszystko zjeść, bo nie było gdzie przechowywać produktów. Szafki mieli więźniowie uprzywilejowani i funkcyjni. Pod ich opiekę oddawano paczki. Siłą rzeczy dzielono się wszystkim. W obozie nie było nic za darmo. Funkcyjni w zamian za produkty dawali paczkowiczom gęstsza zupę, większe porcje chleba. Gdy było więcej paczek, funkcyjni i paczkowicze rezygnowali z obozowej zupy i można ją było dać najbardziej potrzebującym.

Paczki polepszały sytuację żywnościową i ratowały życie setkom ludzi. Oprócz rodzin paczki do obozu przesyłały działające w kraju organizacje ruchu oporu. Przychodziły także od osób obcych. Regularnie przysyłała paczki Halina Targowska z Warszawy, Helena Jabłońska z Zamościa, Maria Marzecka z Zebrzydowic, Alina i Roman Świątkowie z Charsznicy i wiele innych ludzi dobrej woli.

Ważną rolę w życiu więźniów odgrywała również korespondencja. Listy od najbliższych były jedyną możliwością kontaktu ze światem zewnętrznym. Miało to olbrzymie znaczenie psychologiczne. Więzień, pozostawiony sam sobie, szybko tracił nadzieję, ulegał katastroficznym nastrojom, przestawał aktywnie walczyć o przetrwanie. Wiadomości od najbliższych podnosiły na duchu, mobilizowały do dalszych wysiłków w walce o obronę ciągle zagrożonego życia, dawały nadzieję powrotu do domu. Listy pisano w niedziele dwa razy

w miesiącu. Prawie do końca 1942 r. więzień mógł wysłać korespondencję tylko na jeden adres, podany i zarejestrowany w kancelarii obozu. Potem można było pisać na dwa adresy. Napisanie listu nie było sprawą prostą. Trzeba było kupić specjalny papier lub kartkę z odpowiednim nadrukiem i znaczek pocztowy. Większość więźniów nie posiadała pieniędzy. W handlu wymiennym płacono chlebem. Po zdobyciu kartki należało postarać się o pióro i wytargować lub kupić — znowu za chleb — kawałek miejsca przy stole. W warunkach niesłychanej ciasnoty te błahe czynności wymagały wielu zabiegów i energii.

Na treść listu wyznaczano na blankiecie kilka linijek. Pisać trzeba było po niemiecku. Nie wolno było prosić o przysłanie żywności, ubrania, pieniędzy. Trzeba było się strzec, aby nie napisać czegoś, co mogłoby dać obozowej cenzurze okazję do zatrzymania listu i wymierzenia piszącemu kary. Każdy więzień musiał donosić rodzinie, że jest zdrow i czuje się dobrze. Piszący załączał znaczek pocztowy, ale go nie naklejał. Władze obawiały się przenikania ukrytej korespondencji. Do wysyłanego listu należało załączyć odpowiedni druczek, na którym wolno było przesłać odpowiedź. Listy pisane na innym papierze, niż to przewidywały przepisy, niszczone.

✧ Nie wszyscy więźniowie mieli prawo do korespondencji. Odebrano je więźniom radzieckim, a także wielu Polakom i Francuzom. Pisanie listów dawało kombinatorom okazję do zarobkowania. Za ich usługi musieli płacić chlebem ci, którzy nie znali języka niemieckiego albo w poranionych palcach nie mogli utrzymać pióra.

Każdy dzień pobytu w obozie niósł ze sobą śmierć, każdy więzień był potencjalną ofiarą. A jednak mimo

wszystko wielu przeżyło. Należą do nich czterej więźniowie, którzy przyjechali do Gross-Rosen w pierwszym transporcie i przetrwali obóz od pierwszego do ostatniego dnia jego istnienia. Na to, że ocaleli, złożyło się szereg przyczyn. Nie ulega wątpliwości, że pewne znaczenie miało tu tzw. szczęście, przypadek, splot sprzyjających okoliczności. Starzy więźniowie od początku znali obóz, jego prawa i funkcjonowanie władzy. Wiedzieli, że oficjalny regulamin jest nic nie znaczącym świstkiem papieru i że w obozach panuje prawo zwyczajowe, postępowanie narzucone przez esesmańską komendanturę. Od początku znali zwierzchników, ich usposobienia, kaprysy i przyzwyczajenia. Wiedzieli, kiedy i czego wolno było żądać, znali granice, których przekroczyć nie było można. Podarkami, często bardzo oryginalnymi, jednali oprawców. Za wszelką cenę starali się unikać pracy w kamieniołomach i komandach nadzorowanych przez takich kapo, jak np. Newald. Jeżeli sytuacja układała się niepomyślnie i kierowano ich do najcięższej pracy, starali się możliwie szybko uzyskać przeniesienie. Byli zawsze czujni i ostrożni. Musieli wszystko wiedzieć, widzieć i słyszeć. Unikali wszelkich zadrażeń. Jeśli funkcyjny chciał mieć jakiś przedmiot posiadany przez więźnia, otrzymywał go natychmiast — choćby to był ceniony na wagę złota sweter czy ostatnia kromka chleba. Wiadomo było, że przed zachłannością funkcyjnych nie ma uciezki. Jeśli chcieli coś posiadać, zdobywali to, a oporny właściciel szedł do krematorium.

Starzy więźniowie w każdej sytuacji udawali pewnych siebie, kolportowali wyolbrzymione wieści o swych stosunkach w komendanturze. W blokach mówili o rzekomych pochwałach, jakie otrzymywali w pracy, a w pracy chwalili się pochwałami otrzymanymi w bloku.

Wszystko to poparte było pewnością siebie, zdecydowaniem w działaniu, odwagą. Zdawać się mogło, że stworzeni są po to, by żyć i pracować w obozach koncentracyjnych. Bicie i wszelkie kary przyjmowali bez szemrania, kąpiele nie robiły na nich wrażenia. Ich język, czy raczej żargon obozowy, roił się od brutalnych wyrażań, przekleństw i cynicznych zwrotów. Z każdego kilkusetosobowego transportu zostawało kilku takich szczęśliwców. Władzom obozu nie zależało na uśmierceniu wszystkich. Pozostali mogli być żywym i naocznym dowodem, że w obozach koncentracyjnych panują dobre warunki, skoro więźniowie przebywają tutaj od lat, pracują i cieszą się dobrym zdrowiem.

Starzy więźniowie starali się pracować w komandach, które dawały możliwości zorganizowania czegoś do jedzenia albo handlu wymiennego. Szczególną popularnością cieszyła się praca w przyobozowych ogrodach warzywnych. Za zerwanie choćby jednego listka groziły surowe represje, ale nadzorcy nie byli w stanie policzyć wszystkich cebul, pomidorów i ogórków. Wprawdzie znaczyli niektóre, ale starzy więźniowie nie szli na lep takich sztuczek — nigdy nie zrywali warzyw i owoców wyróżniających się wielkością i dorodnym wyglądem.

Ciężka, choć stosunkowo znośna, była praca w magazynach. Przez pewien czas pracował tam Kurt Schöppe, jeden z nielicznych w Gross-Rosen Niemców, którzy swoją postawą dawali świadectwo, że nie wszystkie wartości zostały w Niemczech zaprzepaszczone. W rozmowach z więźniami polskimi otwarcie piętnował zbrodnie obozowe i był przekonany, że mimo przejściowych sukcesów Hitler wojnę przegra. Schöppe siedział na swoim miejscu, palił fajkę, patrzył w okno, ale

nie troszczył się zbytnio o dobra zrabowane w Europie i złożone w magazynach obozowych.

Polscy więźniowie zorganizowali handel wymienny z personelem kuchni esesmańskiej. Kucharki otrzymywały materiały włókiennicze i skórę, a dostarczały smalec, mięso i chleb.

# EPIDEMIE I EKSPERYMENTY



**N**adeszła zima 1941 r. Biała, lodowata mgła napływała z północy. W połowie grudnia rozszalały się zamiecie. Wiatr tłukł się między barakami, rzucał w twarze tumany śniegu, przewiewał cienkie szmaty, mroził skórę, przenikał do szpiku kości. Plac obozowy był wymieciony i szary od mrozu. Mimo zimna więźniowie jak zwykle o 5.15 stawali do apelu, potem szli do kamieniołomów. Wyczerpani do ostatnich granic, pracowali w białej zamieci, przynaglani krzykiem i kijami nadzorców. Gołymi rękami przenosili ciężkie, oblodzone kamienie, za pomocą prymitywnych narzędzi łamali granit. Już od rana byli głodni — przed pracą każdy z nich wypił w pośpiechu zaledwie pół litra podgrzanego wywaru z brukwi! Szczęśliwcy, którym udało się zdobyć torby po cemencie, wkładali je pod pasy, narażając się w razie wykrycia na dotkliwe kary.

W połowie grudnia cały obóz opanowała epidemia tyfusu brzuszego.

Obozowy szpital, tzw. rewir, mieścił się w początkowym okresie istnienia obozu w baraku kuchni. Pod koniec 1941 r. wydzielono na szpital jeden cały blok, a w 1942 r. jeszcze dwa. Rewir był przedsionkiem śmierci, jednakże każdego dnia kilkudziesięciu chorych, niezdolnych do pracy ludzi zbierało się na placu przed blokiem. Do rewiru przyjmowano tylko wówczas, gdy chory nie mógł utrzymać się na nogach lub miał temperaturę przekraczającą 39 °C. Ponieważ miejsc było mało, funkcyjni, z nakazu lekarzy i własnej inicjatywy, przeprowadzali wstępne „badania”, które polegały na biciu gumową pałką i kopaniu leżących i ślaniających się na nogach nieszczęśników. Kto miał jeszcze trochę sił, uciekał przed razami. Na placu zostawali półprzytomni, powaleni na ziemię chorzy. Część z nich dogorywała już przy wstępnym mierzeniu temperatury i tylko nieliczni dostawali się do lekarza. Ten nawet



nie starał się udawać, że ich bada. Mieli ziemiste twarze, zapadnięte policzki, wielkie, rozszerzone głodem i temperaturą oczy. Wstydzili się, że im, dorosłym ludziom, kał spływa po nogach. Lekarzami obozowymi byli kolejno: Babor, Jobst, Entress, potem Rindfleisch i Schmids, wreszcie Thilo i Honig. Ludzie ci i podległy im personel odpowiedzialni są za to, co działo się w rewirze.

Chorzy leżeli stłoczeni na wąskich pryczach i na podłogach korytarzy. Przykryci byli brudnymi, zawszonymi, sztywnymi od zaschłej ropy kocami. Cierpieli na te same, czasem na różne choroby, ale od momentu przyjęcia na rewir trzech leżących na jednej pryczy musiało jeść z jednej, wspólnej miski jedną łyżką i myć się w tej samej wodzie. W tych warunkach choroby szerzyły się błyskawicznie. Setki ludzi bełkotało w malignie. Sale wypełniały jęki, krzyki, wyznania miłosne, przekleństwa, uparcie powtarzane imiona najbliższych.

Opieka lekarska praktycznie nie istniała. Dr Babor zajęty był wykańczaniem radzieckich jeńców wojennych. Władzę w rewirze sprawowali funkcyjni kryminaliści niemieccy. Nie posiadali żadnej wiedzy medycznej ani sanitarnej. Chorych, którzy w gorączce majaczyli lub o własnych siłach nie mogli dojść do ustępu, ścigali za nogi z prycz i wlekli do tak zwanej „dojrzewalni”. Tam pozostawiano ich na betonie. Jeśli śmierć nie następowała zbyt szybko, żywych jeszcze ładowano na wóz i transportowano do krematorium. Działalność niższego personelu służby sanitarnej, składającej się z podoficerów SS, ograniczała się do kradzieży złota pochodzącego z zębów zmarłych więźniów i aplikowania śmiertelnych zastrzyków fenolu. Proceder ten uprawiali długoletni dentysta obozu dr Kurze i Dehnel.

Funkcje pomocnicze w rewirze, podobnie jak wszędzie, pełnili kryminaliści niemieccy. W praktyce oni

decydowali o tym, kto dostanie się na rewir i jak długo tam wytrzyma. Niczego nie robili za darmo. Kto nie miał nic i nie mógł wykupić się w ich łaski, musiał wcześniej czy później umrzeć. Długi czas funkcję kapo na rewirze pełnił Gottlieb Kaiser. Latem 1943 r. awansował i miejsce jego zajął bandyta Georg Prill, a po nim zboczeniec seksualny Rudolf Langer. Kapo był zwierzchnikiem personelu pielęgniarstwa, a także lekarzy więźniów, których w późniejszym okresie skierowano do pracy w rewirze.

Niemiecka służba sanitarna — jeśli można użyć tego określenia — prześcigała się w pastwieniu nad chorymi. Najciężej chorych i tych, którym nie było co ukraść, wykańczano i wywożono do krematorium. Podtrzymywano agonię tych, którzy spodziewali się paczek od rodzin. Zmarłych w nocy trzymano na pryczach obok żywych przez dzień następny, aby zagarnąć ich porcje żywnościowe. Lekarstwa aplikowano tylko ustosunkowanym prominentom.

Śmiertelność była wysoka, a po wybuchu wspomnianej już epidemii tyfusu brzuszego wzrosła do tego stopnia, że zaniepokoiła komendanta obozu. Zgodnie z przepisami ilość chorych nie mogła przekroczyć 10% stanu osobowego więzionych. W czasie epidemii blisko połowa chorowała, każdy dzień przynosił nowe ofiary. Komendant złożył więc odpowiedni meldunek w Berlinie.

Przybyła specjalna komisja lekarska, której przewodniczył profesor dr Werner Heyde. Komendant zorientował komisję w sytuacji i oprowadził ją po obozie. 19 i 20 stycznia 1942 r. całą switą szli od bloku do bloku, zaglądali do przepełnionych baraków. Profesor Heyde stwierdził, że warunki w rewirze zbliżone są do frontowych. Komisja doszła do wniosku, że sytuacja jest poważna, i na okres dwu miesięcy zamknięto obóz.

Wstrzymano także pracę, ponieważ epidemia objęła również esesmanów jednostki wartowniczej. Podjęto środki zapobiegawcze. Zwiększono racje żywnościowe w całym obozie, przeprowadzono dezynfekcję, w rewirze pojawiły się lekarstwa oraz smalec i margaryna. Nie kierowano się oczywiście względami humanitarnymi. Chodziło o zdobycie doświadczeń w zwalczaniu epidemii w warunkach przyfrontowych.

Prowadzono karty ewidencyjne chorych, rejestrowano zabiegi. W rewirze pewną ilość chorych poddano obserwacji i zastosowano specjalne leczenie: zwiększono dawki lekarstw i zastrzyków ze szpitala esesmańskiego. Lekarz obozowy wprowadził częste kąpiele dezynfekcyjne i golenie włosów. Kąpiele te były prawdziwą udręką. Przy dziesięciostopniowym mrozie wypędzano rozebranych do naga więźniów z bloków. Tworzyła się olbrzymia kolejka przed niewielkim basenikiem kąpielowym. Wielu chorych, którzy mieli gorączkę, osuwało się na śnieg. Odnoszono ich pod ścianę najbliższego baraku. Tam umierali. Żywi czekali na kąpiel, która miała zapobiec chorobom. Czekali godzinę, czasem dłużej. Na zdrętwiałych od mrozu nogach wchodzili do basenu wypełnionego roztworem żrącego lizolu. Po kąpiele wracali do baraków. Czasem otrzymywali czystą bieliznę, ale często czekali 2-3 dni, nim wydezynfekowano ubrania.

Podjezranym o tyfus plamisty mierzono temperaturę, zlewano im ciała i rany gryzącym płynem dezynfekcyjnym, dawano do łykania pastylki, które wywoływały gorączkę i majaczenie. Do „kuracji” należało także kilkugodzinne maszerowanie wokół bloków.

W pierwszych dniach marca 1942 r. kwarantannę zniesiono. Przy życiu utrzymało się w całym obozie 300—450 więźniów.

W sierpniu 1942 r. więźniowie zaczęli chorować na

trachomę. Jest to groźna choroba, która przy ostrym zapaleniu spojówek powoduje puchnięcie i silne ropienie oczu. Po kilku miesiącach choroba, leczona nieudolnie lapisowaniem i wpuszczaniem kropeł do oczu, przybrała charakter epidemii. Okresowa ślepota setek więźniów zmusiła administrację obozu do wydzielenia specjalnego bloku dla tej grupy chorych.

Panowały tutaj warunki urągające najelementarniejszym zasadom — już nie higieny — ale ludzkiego bytowania. W sali, której powierzchnia wynosiła 35 m<sup>2</sup>, stłoczono na podłodze i pryczach 84 chorych. Leżeli na papierowych, niczym nie okrytych siennikach. Do przykrycia się dano 28 koców — jeden dla trzech chorych. Niektórzy mieli na plecach, stopach i głowach otwarte, ropiejące rany. Powietrze było zepsute, okna przez cały dzień otwarte. Na chorych często padał śnieg. Wielu z nich nie miało bielizny, bo zużyło ją na opatrunki. Niemieccy nadzorcy tutaj również nie zaniechali szykan. Sztubowy kilka razy dziennie zarządzał gimnastykę. Ślepi więźniowie ćwiczyli przysiady, a nawet boks.

Mimo tych warunków chorzy starali się przedłużyć pobyt na rewirze. Bali się kamieniołomów, karnej kompanii, apeli. Podgojone oczy zarażali ponownie. Wielu traciło wzrok i tych wywożono w niewielkich grupach z obozu, m. in. do komory gazowej na Majdanku. Ci, którzy przetrwali, wracali do pracy. Ich miejsca zajmowali następni.

Sytuacja w całym rewirze uległa poprawie w kwietniu 1944 r. Do obozu przybyła grupa polskich lekarzy więzionych dotychczas na Majdanku. Byli to m. in.: prof. dr Mieczysław Michałowicz, dr Sztaba, dr Stanisław Konopka i dr Tadeusz Kosibowicz. Ich postawa, wiedza i autorytet zmusiły władze niemieckie do względnego respektowania praw należnych chorym.

Podczas II wojny światowej lekarze niemieccy przeprowadzali doświadczenia medyczne i eksperymenty na żywych ludziach. Używano do tego celu więźniów obozów koncentracyjnych. Zbrodnie te pozostaną na zawsze hańbą medycyny niemieckiej.

Na czwartej konferencji lekarzy Wehrmachtu w dn. 18 i 19 maja 1943 r. w Wojskowej Akademii Medycznej w Berlinie ogłoszono szereg referatów o wynikach doświadczeń przeprowadzonych w obozach. Prof. Gebhardt, dyrektor szpitala Hohenlychen, specjalista od badania czaszek jeńców radzieckich, referat swój zaczął słowami: „Ponoszę całkowitą ludzką, lekarską i polityczną odpowiedzialność za eksperymenty”. Konferencja miała charakter wielkiego kongresu medycznego. Obok wielu lekarzy wojskowych brali w niej udział lekarze cywilni. Nikt nie zaprotestował, nikt nie podniósł głosu krytyki. Niemiecki świat lekarski zaakceptował najcięższe zbrodnie, tym okrutniejsze, że dokonane przemocą na bezbronnych ludziach, którym odebrano możliwość jakiegokolwiek protestu.

Eksperymenty medyczne inspirował Wehrmacht. Uzyskane wyniki miały być pomocne w wygraniu wojny totalnej.

3 marca Zakład Sanatoryjny i Opieki Lekarskiej w Bernsbergu k/Dessau skierował pismo do komendantury obozu Gross-Rosen o przekazanie 214 więźniów do celów doświadczalnych. Pewnego dnia sporządzono listę i przeszło 200 więźniów skierowano na rewir. Przemaszerowali nago przed komisją lekarską. Zaledwie kilku niemieckich kryminalistów odesłano z powrotem do bloków. Resztę przebrano i tajnym transportem wywieziono do sanatorium. Dzieje tego tragicznego transportu nie są znane. Przypuszczalnie po przeprowadzeniu badań więźniowie zostali wymordowani. Wskazuje na to fakt, że po pewnym czasie polecono wykreślić nu-

mery ich z ewidencji obozu, co zawsze oznaczało śmierć.

W latach 1942—1943 przeprowadzono dalsze eksperymenty na więźniach. Tym razem chodziło o opracowanie i wypraktykowanie metody zabijania insektów środkami chemicznymi w warunkach przyfrontowych. Ponieważ na frontach szerzyła się wszawica i nie można było jej opanować za pomocą tradycyjnego dezynfekowania odzieży, specjaliści z wojskowej służby sanitarnej doszli do wniosku, że trzeba niszczyć nie tylko wszy gnieźdzące się w bieliźnie, ale także i te, które zostają na skórze i we włosach żołnierzy. Problem walki z wszami postanowiono rozwiązać w sposób dziecinnie prosty: skoro żołnierze mają wszy — trzeba ich wydezynfekować przy zastosowaniu takich preparatów, żeby insekty zginęły wcześniej niż ludzie.

Specjaliści z Instytutu Chemicznego w Hamburgu opracowali teoretycznie zagadnienie i po wyprodukowaniu środków chemicznych przystąpili do doświadczeń w obozie Gross-Rosen.

W jednym z baraków na zarządzenie komendanta uszczelniono szpary. Do wnętrza wpędzono kilkuset więźniów. Kazano im rozebrać się do naga i porozwieszać na drutach odzież. Pod ścianą stanęli uzbrojeni esesmani w maskach przeciwgazowych. Zapalono specjalną, podobną do siarki substancję. Wnętrze wypełnił ciężki, gryzący dym. Po kilku minutach więźniowie zaczęli się krztusić. Jedni krzyczeli, inni rzucili się do okien i drzwi. Początkowo esesmani tłukli kolbami nacierających, ale nie udało im się przywrócić porządku. Otworzyli ogień i wystrzelali najsilniejszych. Reszta padała na podłogę. Niektórzy tracili przytomność, inni dusili się. Powoli krzyki cichły. Wzdłuż ścian stali esesmani z bronią gotową do strzału. Przez okulary masek patrzyli na kłębowisko nagich ciał. Po pewnym czasie

otwarto okna i drzwi. Podłączono hydranty i puszczo zimną wodę. Strumienie skierowano na ofiary. Po prysznicu wyrzucono wszystkich na zewnątrz. Przy życiu utrzymali się ci, którzy padli twarzą do podłogi. Okazało się, że zapomniano zalepić szpary i w związku z tym był pewien dostęp powietrza. Przypadkowo uratowani wracali do przytomności. Z nosa i uszu ciekła im krew. Krztusili się. W płucach czuli piekący ból.

Eksperymenty medyczne stosowane w Gross-Rosen i innych obozach nie przyniosły medycynie niemieckiej żadnych osiągnięć. Przeprowadzane przez dyletantów, którzy tytuły naukowe zdobywali dzięki szlifom SS, były parawanem dla Himmlera, który chciał zdobyć uznanie również jako „protektor nauki”.

Eksperymentowanie na żywych ludziach skracало czas doświadczeń i obniżało do minimum ich koszty.

Jednym z najaktywniejszych organizatorów eksperymentów był wspomniany już prof. dr Werner Heyde. Był on jedną z najbardziej ponurych postaci medycyny hitlerowskiej. Morderca 200 tys. ludzi, nie został ukarany i choćby dlatego warto przyjrzeć się bliżej jego działalności w Rzeszy i Republice Federalnej.

Kiedy Hitler doszedł do władzy, Heyde liczył sobie 31 lat, był lekarzem psychiatrą i oficerem SS. Protekcja i kontakty z czołowymi osobistościami elity hitlerowskiej sprawiły, że młody neurolog został mianowany profesorem uniwersytetu w Würzburgu, a potem dyrektorem wydziału neurologii kliniki uniwersyteckiej.

W latach, kiedy dr Heyde robił karierę, potajemnie opracowywano plany wojen i gigantycznych morderstw ludności cywilnej. Władze NSDAP kryptonimem f-4 zaszyfrowały zaplanowaną akcję „eutanzji”. W lipcu 1939 r. wezwano zaufanych lekarzy do praktycznego rozwiązania postawionych zadań. Wielu wybitnych specjalistów niemieckiej medycyny, wśród nich profe-

sorowie wyższych zakładów naukowych, zgłosiło dobrowolnie swój udział. Jednym z pierwszych ochotników w tym zaciągu był prof. Heyde i prof. dr Paul Nitsche.

1 września 1939 r. Hitler wysłał tajne pismo do zaufanych lekarzy z zaleceniem uśmiercania pod pozorem „eutanazji” pacjentów nieuleczalnie chorych. Równocześnie program przewidywał likwidację Żydów i więźniów uznanych za przeciwników reżimu hitlerowskiego. Utworzono trzy organizacje i przy ich pomocy przystąpiono do dzieła.

Dobroczynny Fundusz Opieki finansował całą akcję i budował urządzenia potrzebne do gazowania ludzi, ponieważ takie metody, jak podawanie tabletek i trucizn, były za mało wydajne. Przedsiębiorstwo Transportu Pacjentów, kierowane przez SS, przewoziło chorych ze szpitali i przytułków do obozów śmierci. Stowarzyszenie Szpitali i Lecznic rejestrowało i dostarczało list pacjentów przeznaczonych do likwidacji.

Kierownikiem Stowarzyszenia Szpitali i Lecznic oraz Dobroczyennego Funduszu Opieki był Heyde. Miał ręce pełne roboty. Oprócz wypełniania obowiązków profesora uniwersytetu i dyrektora kliniki osobiście wizytował szpitale, przytułki i obozy koncentracyjne. Na podstawie kart choroby opróżniał z pacjentów sale i całe wydziały w szpitalach, a na podstawie kartotek gestapo wysyłał wrogów reżimu i Żydów do komór gazowych. W 1940 r. tysiące rodzin otrzymało zawiadomienie o śmierci najbliższych na serce. W Niemczech szerzyły się pogłoski na temat likwidacji kilkuset tysięcy chorych umyślowo.

Ponieważ program ludobójczy był dopiero rozpoczęty, postanowiono obozy zagłady budować także na wschodzie, m. in. w Polsce.

Profesor pozostał w Niemczech i na nieco mniejszą



skale kontynuował „eutanzję”. Od śmiertelnych zastrzyków Heydego i jego najbliższych współpracowników ginęło miesięcznie kilka tysięcy osób. Profesor dokonywał też różnorodnych eksperymentów medycznych na więźniach obozów koncentracyjnych, m. in. Gross-Rosen.

Po wojnie na podstawie kartotek, sprawozdań i różnorodnej dokumentacji, która dostała się w ręce alian-tów, ustalono, że Heyde jest osobiście odpowiedzialny za śmierć co najmniej 60 tys. osób ze szpitali i przytułków oraz 140 tys. więźniów politycznych z obozów koncentracyjnych.

Po wojnie prof. Heyde żył spokojnie przez dwa lata. Aresztowano go dopiero w 1947 r. w Würzburgu, ale uciekł w czasie transportu i ukrywał się u bogatych przyjaciół w ciągu następnych dwu lat jako ogrodnik. Ponieważ znał dokładnie nastroje w Republice Bońskie-j, wyszedł w 1949 r. z przyjemnego odosobnienia, przedzierzgnął się w „dra Fritza Sawade” i zaczął robić we Flensburgu karierę zawodową. W ciągu kilku lat został lekarzem miejskiego ośrodka lekkoatletycznego, następnie otworzył neurologiczny gabinet lekarski, uzyskał nominację na „gutachtera” (ekspertyzy lekarskie dla państwowego zakładu ubezpieczeń), by wreszcie zostać „obergutachterem”, czyli oficjalnym rzeczoznawcą sądowym.

Przez cały czas nazwisko Heydego było na liście poszukiwanych przez policję zbrodniarzy wojennych. Przeszłość i prawdziwe nazwisko profesora znali we Flensburgu policja, sędziowie, lekarze i cała śmietanka towarzyska miasta. Popierany przez nią, zbijał pieniądze. Jedynie jako „gutachter” zarobił w ciągu 6 lat sumę 300 tys. marek. Był bogaty, szanowany przez notabli, lubiany przez ich małżonki, mile widziany w salonach najbogatszych obywateli Flensburga. Na wie-

czorach towarzyskich i odczytach publicznych wygłaszał referaty o eutanazji, o masowym gazowaniu ludzi i różnych eksperymentach. W spotkaniach tych uczestniczyli między innymi lekarze, którzy parę lat temu studiowali u prof. Heydego na uniwersytecie w Würzburgu i dobrze wiedzieli, kim jest referent.

Milczeli jednak, a profesor Heyde, morderca 200 tys. ludzi, pod przybranym nazwiskiem jako oficjalny rzeczoznawca sądowy opiniował prośby o emerytury składane przez tych, którzy ocaleli.

Wreszcie cała sprawa wyszła na jaw. Jesienią 1959 r. wokół osoby Heydego wybuchł skandal polityczny. Najpierw próbowano sprawę zatuszować, ale prasa zdążyła już zaalarmować opinię publiczną Niemiec i Europy. Po wielu perypetiach Heyde stanął przed sądem i został... uniewinniony, ponieważ — jak podano w uzasadnieniu wyroku — był przekonany, że postępuje zgodnie z prawem.

Aresztowany powtórnie, popełnił samobójstwo w celi więziennej.

RUCH OPORU



**D**o roku 1944 w Gross-Rosen nie było centralnie kierowanego ruchu oporu. Obóz nie miał żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Ludność najbliższej osady zachowywała postawę wroga wobec więźniów. Pozbawieni aktywnego, a przynajmniej przychylnego zaplecza, pozostawali oni w ścisłej izolacji od ludzkiej społeczności.

Obok trudności w nawiązaniu jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym istniały również obiektywne przeszkody w stworzeniu trwałej siatki konspiracyjnej, wynikające ze specyfiki życia obozowego. Każdego roku, miesiąca, tygodnia, dnia ginęły tysiące, setki, dziesiątki więźniów, a liczne transporty kierowano do filii i innych obozów koncentracyjnych. Na miejsce tych, którzy umierali bądź wyjeżdżali, przychodzili ludzie nowi, przerażeni światem, w którym się znaleźli.

Przyjaźń w więzieniach i miejscach odosobnienia rodzi się szybko, ale od przyjaźni, która jest chęcią wzajemnej pomocy, do konspiracji, która zagraża życiu, droga jest bardzo daleka.

Więźniowie polityczni mieli pewne doświadczenie w pracy konspiracyjnej, ale ginęli w pierwszej kolejności. Każdego dnia z polecenia gestapo prowadzono ich w kierunku krematorium na zastrzyk fenolu lub benzyny.

W obozach obowiązywał system zbiorowej odpowiedzialności. Jeżeli więzień posłał źle łóżko, karano „cyrkiem” lub karną musztrą cały blok; jeżeli ktoś uciekł z obozu, wszyscy stali na placu apelowym aż do wyjaśnienia sytuacji. Tak więc konspiratorzy musieli liczyć się z tym, że w razie wpadki represje dotkną także setek więźniów nie mających z konspiracją nic wspólnego.

Niebagatelnym powodem braku ruchu oporu był

także różnorodny skład społeczny więźniów Gross-Rosen. Byli tu artyści, księżęta, hrabiowie, generałowie, pułkownicy, działacze społeczni, profesorowie, lekarze, księża i zakonnicy, prawnicy, nauczyciele, urzędnicy, inżynierowie, kupcy, rzemieślnicy, chłopci i robotnicy. Zdawać by się mogło, że wszystkich powinna zrównać i zjednoczyć wspólnota więziennego losu, zagrożenie, któremu podlegali. Tworzyły się jednak ugrupowania i grupki ludzi tego samego zawodu czy tych samych środowisk.

Spółeczność obozowa była też konglomeratem różnych narodowości. Bariery językowe utrudniały, albo wręcz uniemożliwiały kontakty osobiste więźniów. Niemieccy kryminaliści, którym od początku istnienia obozu aż do 1944 roku powierzano wszystkie funkcje, skupiali wokół siebie szpiclów, którzy donosili o wszystkim, co się działo w blokach.

W obozie obowiązywał bezwzględny zakaz grupowania się, rozmów w czasie pracy i w miejscach zbiórek. W tych warunkach nie mogła wytworzyć się jednolita, centralnie kierowana organizacja ruchu oporu. Powstało szereg niezależnych grup, które jednoczyła przyjaźń, przekonania polityczne, wspólne przeżycia, solidarność. Grupy takie istniały we wszystkich komandach pracy.

Najaktywniejszą politycznie grupę stanowili więźniowie polscy komanda Steinbruch. Znalazła się tutaj pewna liczba intelektualistów, działaczy społecznych i politycznych, prawników, studentów. Lista obejmuje kilkadziesiąt nazwisk. Są to m. in.: prof. dr Andrzej Waksmundzki, prof. dr Kazimierz Guzik, Antoni Gładysz, Roman Olszyna, dr Andrzej Wołoszyński, bracia Zdzisław i Zbigniew Romańscy, sędzia Tadeusz Gałeccki, Juliusz Zagórski, Wacław Poprawski.

W środowisku tym działał pułkownik Mieczysław

Tabaczyński, znany jako „Rólka” lub „Rurka”, który stał na czele organizacji konspiracyjnej więźniów. Początkowo niewielka, latem 1944 roku objęła swym zasięgiem większość bloków.

Himmler w specjalnym, znanym organizacji podziemnej rozkazie polecał jednostkom SS, aby na wypadek zbliżania się wojsk alianckich zatarły wszelkie ślady istnienia obozów, a także zlikwidowały pozostałych przy życiu więźniów. Celem organizacji było przygotowanie wystąpienia zbrojnego w wypadku, gdyby komendantura przystąpiła do realizacji tego rozkazu.

Bracia Romańscy na polecenie Tabaczyńskiego zorganizowali sieć wywiadu.

Latem 1944 r. więzień Mieczysław Mołdawa, prowadzący tajny nasłuch radiowy, przejął informację radiostacji angielskiej, która w specjalnym komunikacie informowała o tajnej naradzie wszystkich komendantów obozów w Oświęcimiu. Skojarzono rozkaz Himmlera z naradą oświęcimską i rowami, które w tym czasie zaczęto kopać na terenie obozu Gross-Rosen. Rowy te miały podobno służyć jako schrony przeciwlotnicze.

Organizacja przystąpiła do energicznego działania.

„Byliśmy informowani o każdym rozkazie komendanta obozu, znaleźliśmy niektóre jego rozmowy telefoniczne i treść pism znajdujących się w jego biurku. Wiedzieliśmy o każdej jego rozmowie w jego własnym mieszkaniu czy esesowskim kasynie. Podobnie byli obstawieni wszyscy ważniejsi obozowi dygnitarze” \*.

Informatorami komórki wywiadowczej byli sprzątacze, pracownicy biurowi, służba obsługująca mieszkania esesmańskich dygnitarzy. Organizacja posiadała plan obozu, znała liczebność sił wartowniczych, ilość broni i amunicji w magazynach koszar esesmańskich, a także

---

\* Gładysz, op. cit., s. 257.

stanowiska karabinów maszynowych i martwe pola obstrzału. Opracowano kilka wariantów przebiegu akcji zależnie od warunków, w jakich przyszłoby ją realizować.

Komando cieśli — Zimmerleute — miało na wypadek powszechnego zrywu umożliwić sforsowanie drutów. Przecinanie ich uznano bowiem za zbyt czasochłonne. Zdecydowano, że przez ogrodzenie przerzuci się kilka pomostów. Cieśle z narażeniem życia przenieśli na teren obozu elementy składanych baraków i potrzebne narzędzia. W komandzie tym działali: Franciszek Gawryś-Fedorowski — oficer Wojska Polskiego, Marian Pankowski — poeta, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław Kołodziejczyk — prawnik, Edward Jarosiński — stolarz, Antoni Kapuściński, Tadeusz Wiśniewski i in. W stolarni prowadził dyskusje o sytuacji na frontach Stanisław Targowski.

Więźniowie zatrudnieni w garażach znaleźli ukryte tam miotacze ognia, za pomocą których esesmani zamierzali spalić obóz. Opracowano metodę unieszkodliwienia tych urządzeń.

Komando Wetterstelle — to ukryta pod kryptonimem stacji meteorologicznej grupa inżynierów, którzy demontowali zdobytą na aliantach aparaturę lotniczą. Więźniowie tego komanda skonstruowali miniaturowy radioodbiornik tranzystorowy, za pomocą którego odbierali audycje nadawane przez aliantów. W komandzie pracowali Polacy, Czesi, Francuzi, Węgrzy, Niemcy, Austriacy i Rosjanie. Panowała w nim atmosfera solidarności i przyjaźni.

Kierownictwo obozowego ruchu oporu w zasadzie nie przewidywało zbrojnego wystąpienia, gdyż groziłoby to zbyt dużym ryzykiem. Użycie siły miało być ostatecznością. Ruch oporu ograniczał się przede wszystkim do

pomocy wzajemnej, podtrzymywania się na duchu, budzenia woli przetrwania.

W bloku 20 więźniów Dmochowski wygłosił do zebranych współtowarzyszy płomienne przemówienie, w którym wspomniał o istnieniu w obozie organizacji konspiracyjnej. Wśród słuchaczy znajdował się donosiciel. Oprócz wiadomości o wystąpieniu Dmochowskiego w rękach komendantury znalazł się tajemniczy spis 28 więźniów tego bloku. Władze obozowe podjęły śledztwo, którym osobiście kierował lagerführer Ernstberger.

Śledztwo niczego nie wykazało. Esesmani wpadli we wściekłość i postanowili zmasakrować wszystkich więźniów bloku 20. „31 grudnia — wspomina to wydarzenie Feliks Siejwa — grupa esesmanów z Eschnerem na czele wpadła przed gwizdkiem nocnym do baraku, zamknęła drzwi i po spędzeniu wszystkich do Tagesraumu urządziła masakrę. Pałki i pejczy poszły w ruch. Trzeszczały kości katowanych więźniów, krew zalewała ściany i podłogi, a rumor przewracanych stołów i taboretów roznosił po obozie wieść o karnej ekspedycji. Śmiertelna cisza zapanowała w sąsiednich blokach. Nikt nie odważył się wyjrzeć choćby przez okno. Czekano, czy skończy się na jednym bloku, czy też rozszałeli esesmani zwizytują następne. Uciekać nie było gdzie” \*.

Po masakrze esesmani zrezygnowali z rozprawy z więźniami innych bloków. Dmochowskiego osadzono w bunkrze, gdzie zmarł śmiercią głodową.

W obozie prowadzono również konspiracyjną działalność artystyczną i naukową. Początkowo zajmowały się tym nieliczne, luźne grupki, ale w okresie później-

---

\* Siejwa, op. cit., s. 197.



szym działalność ta rozwinęła się. Wielkie zasługi na tym polu położył prof. dr Mieczysław Michałowicz. Swoją postawą, powagą i autorytetem naukowym wyjednał u władz obozu zgodę na prowadzenie wykładów informacyjnych dla służby sanitarnej o aktualnych osiągnięciach medycyny. „Wykłady te — pisze dr Stanisław Jagielski — przyjęte zostały przez nas ze zrozumiałym entuzjazmem. Na prelekcjach był wprowadzie zawsze obecny podoficer SS, śledzący merytoryczną stronę pogadanek, tym niemniej nie potrafił zatruć radości żywego słowa, które wprowadzało nas w nastrój dawno ubiegłych lat uniwersyteckich” \*.

W 1944 roku władze obozu zezwoliły na prowadzenie lekcji i pogadanek dla polskich więźniów młodocianych. Lekcji chemii i biologii udzielał prof. dr Andrzej Waksmundzki, geometrii i fizyki — prof. dr Kazimierz Guzik, matematyki — Stefan Andrejszyn, a rysunku odręcznego uczył architekt H. Stankiewicz. Zajęcia oczywiście prowadzono pod nadzorem, lecz wykładowcy znaleźli zawsze okazję, aby wtrącić kilka zdań o ludzkiej godności, szacunku dla człowieka i przemijaniu wszelkiej przemocy i bezprawia.

Wykłady i pogadanki rozbudzały potrzeby umysłowe i aktywność więźniów, dla wielu były też pierwszymi lekcjami działalności konspiracyjnej. Powstało wiele kół i kółek zainteresowań o różnorodnych specjalnościach. Przedmiotem dyskusji były zagadnienia filozoficzne, przyrodnicze, medyczne, geograficzne, matematyczne, a nawet astralne i okultystyczne. Spotkania zbliżały więźniów, cementowały ich postawę wobec władz obozu.

Wielkim uznaniem w obozie cieszyła się poezja. „Ży-

---

\* Jagielski, op. cit., s. 85.

we słowo znajdowało zawsze żywy oddźwięk słuchaczy w obozie. Dlatego szczególną sympatią cieszyli się wszyscy literaci i poeci, których utwory podawano sobie z rąk do rąk i odczytywano po zapadłych kątach i latrynach”\*. Młodzi poeci, Andrzej Wydrzyński i Marian Pankowski, recytowali swoje utwory nawet w czasie alarmów przeciwlotniczych.

Obok poezji popularne były piosenki. Do 1943 roku śpiewano je tylko w języku niemieckim, ale później zniesiono to ograniczenie. Do żelaznego repertuaru Polaków należały: *Rozszumiąły się wierzby płaczące* i *Serce w plecaku*. Śpiewano także przeboje rozrywkowe, arie operowe i operetkowe. Znakomici wykonawcy: aktor Kazimierz Dembowski i śpiewak Wojciech Dzierduszycki, cieszyli się zasłużoną popularnością.

Ważną rolę w życiu wszystkich obozów koncentracyjnych spełniały orkiestry. Miały one świadczyć, że Niemcy dążą do reedukacji uwięzionych, stwarzając im także warunki rozwoju kulturalnego. Największa fabryka śmierci — Oświęcim — mogła się „poszczycić” wielką, liczącą około 200 muzyków orkiestrą.

Orkiestra w Gross-Rosen liczyła około 40 osób. Przy jej dźwiękach szli więźniowie do pracy w kamieniołomach, w ostatnią drogę do krematorium, lecz także w niedzielne popołudnia słuchali koncertów symfonicznych. Muzyka, niezależnie od intencji twórców orkiestr obozowych, podtrzymywała wolę przetrwania, rozbuźdzała psychikę więźniów. Polacy byli szczególnie wrażliwi na muzykę. Pewnego razu Marek Włodarski, pierwszy skrzypek Filharmonii Warszawskiej, odegrał na koncercie niedzielnym kujawiaka Wieniawskiego. Nie tylko Polacy byli wzruszeni. Rzęsiste brawa sypały

---

\* Tamże, s. 86.

się ze strony obcokrajowców. Nawet oprawcy uśmiechali się z aprobatą.

Do pamiętnych wydarzeń w życiu obozu, szczególnie dla Polaków, należała wigilia 1944 roku.

Po uzyskaniu w komendanturze zezwolenia postanowiono zorganizować imprezę artystyczną na szeroka skalę. Pierwsza część składała się z tańca zbójnickiego i kolęd. Częścią drugą była szopka świąteczna. Widowisko reżyserował Roman Niewiarowicz. Głównymi wykonawcami byli: Kazimierz Dembowski, Wojciech Dzeduszycki, Andrzej Wydrzyński, Kazimierz Szostak, Andrzej Nowacki, Kazimierz Guzik i inni. Przedstawienie osnuto na motywach *Wesela* Wyspiańskiego. Zainicjowało je bicie w szynę, które miało imitować głos dostojnego „Zygmunta”. Ukazały się wieże kościoła Mariackiego, zabrzmiał hejnał. Rosło napięcie. Jak w kalejdoskopie zmieniały się obrazy, uzupełniane kolędami i deklamacjami. Wreszcie rozległy się zza sceny słowa:

„Od wschodu idzie grzmot i błyskawice niby jutrznia”.

Zadźwięczał złoty róg Wernyhory...

Przedstawienie zakończyło się wzruszającą manifestacją patriotyczną. Wszyscy powstali z miejsc.

Tego wieczoru więźniowie dzielili się ubogą strawą, częstowali kawałkami papierosów, rozmawiali o najbliższych i więcej niż zawsze myśleli o powrocie do domu.

Działalność kulturalna w warunkach reżimu obozów koncentracyjnych jest fenomenem zastanawiającym najpoważniejszych badaczy. Włoski naukowiec Andrea Devoto, wybitny specjalista w dziedzinie psychologii i socjologii, pisze: „Reakcje «pozytywne» dzieliły się zasadniczo na dwa rodzaje: działalność kulturalną

z jednej strony, solidarność, opór i bunt zbrojny — z drugiej. Jak wynika z posiadanych przez nas dokumentów, pierwszy typ działalności wiązał się przede wszystkim z obozami koncentracyjnymi położonymi na terenie Polski oraz kilkoma innymi [...] Aby zrozumieć to szczególne zjawisko, należałoby, być może, zapoznać się lepiej z tradycjami kulturalnymi krajów Europy wschodniej, tym bardziej że nie słyszeliśmy, aby podobne inicjatywy podejmowali w tych samych obozach więźniowie pochodzący z Europy zachodniej” \*.

Inicjatorami życia kulturalnego w obozach prawie zawsze byli Polacy. Oni to przeciwstawiali fizycznej przemocy oprawców strofy poezji, muzykę, gest aktora.

Ruch kulturalny w obozach koncentracyjnych był szczególną formą ruchu oporu. „Oporem mogło być wszystko, bo wszystko było zabronione. Oporem stała się każda działalność, która stwarzała wrażenie, że więźniowi pozostało coś z dawnej osobowości i indywidualności” \*\*.

Ważnym przejawem oporu była też tzw. „organizacja”. „Organizacja” w pojęciu więźniów nie była kradzieżą, choć polegała na sprycie i zręczności w palcach. Za kradzież uznawano przywłaszczenie przez więźnia przedmiotów będących własnością innego więźnia, natomiast nie był złodziejem ten, kto okradał esesmanów bądź „organizował” żywność, ubranie, buty z magazynów obozowych. Z czasem „organizowano” również funkcje, „posady”, zwolnienia, przeniesienia z pracy. „Grunt to organizacja” — powtarzali więźniowie prze-

---

\* A. De v o t o, *Aspekty socjopsychologiczne i socjopsychiatryczne obozów koncentracyjnych*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1968, t. XVIII, s. 119.

\*\* Tamże, s. 120.

mycając z magazynu skombinowane buty, nowy pasiak, paczkę margaryny, kawałek mydła, lekarstwo z apteki SS. „Organizacja” wymagała sprytu, opanowania.

W Gross-Rosen „organizowano” także wiadomości z biura komendantury z kartotek więziennych Wydziału Politycznego. W cenie były również odpisy protokołów posiedzeń organów śledczych.

# EWAKUACJA



**W** styczniu 1945 roku ruszyła znad Wisły ofensywa radziecka. W kierunku Gross-Rosen ciągnęły transporty ewakuacyjne z Oświęcimia. Przez śniegi i mrozy szły wielotysięczne kolumny więźniów pod esesmańską eskortą z bronią gotową do strzału. Do Gross-Rosen przybył komendant obozu Oświęcim I, sturmbannführer SS Richard Baer. Czekał na piesze kolumny, które wyruszyły z Oświęcimia, ale zagubiły się gdzieś po zasypanych śniegiem drogach.

W Gross-Rosen w dzień i w nocy wznoszono piętrowe bloki, które nazwano filią obozu oświęcimskiego. Projekt rozbudowy obozu, obliczonego na 45 000 więźniów, powstał jeszcze na początku 1944 roku. Po wykarczowaniu lasu na zboczu wzgórza i otoczeniu terenu naelektryzowanym drutem kolczastym przystąpiono do robót ziemnych i wznoszenia bloków. Nie zdążono ich wykończyć — nie miały jeszcze podłóg, drzwi i okien — a już lokowano w nich przybywające transporty. Obok bloków kopano liczne doły, podobno na piwnice i magazyny. Więźniów zatrudnionych przy tym nigdzie nie wypuszczano.

Obóz był tak przepełniony, że więźniowie spali wszędzie, na każdym kawałku podłogi, a w nowych, nie wykończonych blokach — na gołej ziemi. Na hałdę przy krematorium rzucono dziennie około 350 trupów. Krematorium dymiło dniem i nocą, ale nie mogło spalić takiej ilości zwłok. W obozie panował głód, wielu więźniów, doprowadzonych do ostateczności, szło na druty. Nikt nie chodził do pracy, wszyscy byli tak wyczerpani, że walili się z nóg na apelach.

W tym czasie do sprawnie działającej maszyny obozu wkraść się chaos i rozprzężenie. Było coraz mniej żywności i odzieży, coraz więcej transportów ewakuacyjnych przybywało z komand Dolnego Śląska. W ostatnim okresie administracja nie zakładała kartotek

i nie prowadziła ewidencji więźniów. Notowano tylko ilość i liczebność transportów.

I oto wreszcie pewnego dnia pod koniec stycznia ktoś usłyszał echo potężnej detonacji. „Kto mógł, wyszedł na pole, aby przekonać się, czy była to naprawdę detonacja dochodząca z frontu czy z kamieniołomów. Kładliśmy się na ziemię i długo nasłuchiwalismy. Według zawodowych oficerów były to detonacje z frontu. A więc front się zbliżał, zbliżał na odległość zasięgu ludzkiego ucha. Rozjaśniły się twarze, zamglone oczy zaczęły znów żyć i błyszczeć” \*.

Po kilku dniach, gdy już dobrze słyhać było huk armat, przystąpiono do ewakuacji obozu. Pierwszymi transportami wyjechało kilka tysięcy kobiet wywiezionych do Gross-Rosen z Oświęcimia. Potem opróżniono bloki „nowego obozu”, by wreszcie ewakuować więźniów ze starych bloków. Każdego dnia w kierunku stacji wyruszały uformowane kolumny. Każdy więzień dostawał na drogę bochenek chleba i puszkę konserw. Przy dźwiękach kapeli opuszczali bramę przekłętą tego miejsca. Widzieli po drodze, jak ci, którzy niedawno obrzucali ich kamieniami, teraz w popłochu pakują na wozy dobytek: pierzyny, taborety, poobijane miednice, toboły z łachmanami, obrazy i portrety Führera. To, co wczoraj było „tysiącletnie, mocne i nienaruszalne” — dziś waliło się w gruzy.

Obok więźniów szli ludzie w czarnych płaszczach, gorliwe, pracowite karły śmierci. Wszystko, co dały im szkolenia teoretyczne i praktyka obozowa, teraz, gdy budził się strach, wykorzystywali w jeszcze większym stopniu. Strzelali do każdego, kto się zachwiał i wychylił z szeregu, kto się potknął i przewrócił na drodze, nie mając sił do dalszego marszu.

---

\* Gładysz, op. cit. s. 266, 267.



Jeden z takich transportów wyruszył z obozu 10 lutego. Od ósmej rano do czwartej po południu trzymano na placu uformowaną do marszu kolumnę, by wreszcie popędzić ją w kierunku stacji kolejowej. Po drodze zabito ponad dwudziestu więźniów. Na stacji okazało się, że nie ma wagonów i że uszkodzone są tory kolejowe. Kolumna wróciła do obozu. O 21.00 zaczęły chwiać się ściany bloków od padających w pobliżu bomb. O godzinie 2 ponownie uformowano kolumnę i popędzono na stację. Do jednego wagonu załadowano 123 ludzi. Więźniów eskortowali trzej uzbrojeni w broń automatyczną esesmani i kryminaliści niemieccy, którym dano w drogę długie noże.

„[...] Gdy zapadł zmrok, prominenci sięgnęli po noże, esesmani ze wzniesienia terroryzowali nas lufami automatów, zaś Maks Weiss chwycił najbliższych stojących, dźgał ich nożem z wprawą zawodowego rzeźnika, a następnie wyrzucał zwłoki z wagonu, uważając, by nie padały na tor, a na nasyp. Zaczęła się rzeźnia tymi straszniejsza, że systematyczna [...] Panowała cisza niesamowita, cisza trudna do zrozumienia dla człowieka, który nie był w obozie. Normalną reakcją człowieka na widok mordu byłby krzyk, protest, atak na mordercę albo ucieczka, a nawet zaciekle, gwałtowna obrona. Obóz wyzbył się takich odruchów, gdyż panowało tam bezprawie i przemoc, którym nie można było się przeciwstawić. Obóz stanowił wyższy stopień opanowywania uczuć, myśli i odruchów [...] Za jakikolwiek odruch protestu, obrony esesmani wystrzelaliby nas wszystkich. Maks Weiss mordował wśród milczenia i słychać było krzyk ofiary górujący nad sapaniem lokomotywy [...] Weiss zarżnął w ciągu jednej nocy pięćdziesięciu sześciu więźniów. Na stu dwudziestu trzech jadących wagonem”.

Transport jechał wolno. Przez długie dni mijał mia-

sta i wsie Dolnego Śląska, manewrował i godzinami stał na bocznych torach, by wreszcie dowlec się do stacji o nazwie Leitmeritz (Litomierzyce). „Przy wyładowywaniu i ustawianiu w kolumnę zabito na stacji około trzystu więźniów. Potem przez całe popołudnie dwa duże wozy przewoziły trupy z dworca do obozu. W ten sposób pozbyto się starych i słabych. Transport, kiedy wyruszył przed trzema dniami, liczył dwa tysiące pięćset ludzi. Teraz zmałał do niespełna tysiąca siedmiuset” \*.

Ze stacji szli zatłoczonymi przez uciekinierów uliczkami miasteczka w stronę obozu. Patrzyli na panikę Niemców, na wrzeszczących esesmanów i volkssturmi-  
stów, z trudem torujących drogę kolumnie więźniów. Widok konnych wozów załadowanych dobytkiem, pędzonego bydła i niemieckich cywilów, którzy w zamię-  
cie tracili głowę, budził w więźniach nadzieję.

Minęli miasto i doszli szosą do bramy z napisem: „Arbeit macht frei”. Byli w Litomierzycach, filii obozu koncentracyjnego Flossenburg. Pracowało tutaj ok. 10 tys. więźniów. Część drążyła w skałach podziemne tunele dla niemieckich fabryk, a reszta pracowała pod nadzorem specjalistów przy produkcji silników, aparatów pomiarowych i sterowniczych do rakiet.

Transport z Gross-Rosen umieszczono w dawnych stajniach koszar kawalerii. W olbrzymiej hali stały piętrowe prycze bez sienników i słomy. Więźniom po trzech dniach podróży nie dano nawet obozowej strawy. Połowa transportu otrzymała po kilka łyków zbożowej kawy, reszta zaspokoila głód wodą z kranów.

I znowu podobnie jak w Gross-Rosen wstawali o świcie, ślali barłogi, biegli na apel, wypijali trochę jakiegoś wrzątku i szli do pracy w sztolniach odległych

---

\* Tamże, s. 271—272, 274,

o blisko dwa kilometry, do warsztatów, do sypania dróg i budowy mostów.

W połowie kwietnia jedli wszystko: ogryzali korę z gałązek, rwali trawę, listki koniczyny i lucerny, polowali na szczury i myszy, łapali żaby, zabijali psy i koty. Chorowali na tyfus plamisty, dur brzuszny, flegmonę, puchli z głodu. W rewirze nie było miejsca, nie było leków i lekarzy. Umierali dziesiątkami i setkami. Ciało nie palono, bo w Litomierzycach nie było krematorium. Specjalne komando, liczące około 200 ludzi, kopało masowe groby. Ciała okręcano czarnym papierem i wrzucano do dołów.

Więźniów Litomierzyc zaczęto wysyłać transportami do innych obozów, ale w tym czasie większość z nich była już wyzwolona i konwoje nie wiedziały, dokąd kierować transporty. Zatrzymywano je na ślepych torach, drutowano i plombowano wagony, a następnie pozostawiano własnemu losowi. Żołnierze wojsk wyzwoleńczych otwierali wagony wypełnione kłębowiskiem martwych ciał.

Tymczasem w Litomierzycach rozeszła się wieść, że zgodnie z rozkazem Himmlera przygotowuje się likwidację wszystkich więźniów i zniszczenie obozu. Komendantura opracowała plan masakry. Zamierzano więźniów zapędzić do podziemnych sztolni, wpuścić gaz i za pomocą min zasypać wszystkie wyjścia. Plany pokrzyżowało oświadczenie rządów koalicji, które stwierdzało, że w wypadku realizacji rozkazu Himmlera zostaną straceni wszyscy niemieccy jeńcy wojenni, a także załogi obozów koncentracyjnych.

Załoga esesmańska opuściła obóz. Nadzór przejął Volkssturm. Komendant zwrócił się do więźniów niemieckich z apelem, aby również „pomogli ojczyźnie”. Większość bez wahania włożyła czarne mundury i wię-

ła karabiny do rąk. Byli groźniejsi od esesmanów, bo doskonale znali społeczność więźniarską.

W czasie ewakuacji Gross-Rosen i jego filii do Litomierzyc skierowano 2000—3000 więźniów. Przeżyło ich nie więcej jak 500. Do obozu Bergen-Belsen wyruszyło transportami ok. 4000 więźniów, do Nordhausen-Dora 3000—10 000, do Buchenwaldu — 4000—5000. Do Flossenburga ewakuowano ok. 6000 więźniów, do Dachau ok. 2000 i do Mauthausen ok. 5000. Ogółem ewakuowano ok. 30—35 tys. więźniów.

W opustoszałym obozie specjalne komando przystąpiło do zacierania śladów zbrodni. Zasypano dół z prochami spalonych, rozebrano piece, zniszczono urządzenia, wystrzelano ukrywających się maruderów.

Oddziały Armii Radzieckiej wkroczyły do obozu w połowie lutego.

# APEL POLEGŁYCH



**P**odczas drugiej wojny światowej zginęło 6 028 000 obywateli polskich, z czego 644 000 w wyniku działań wojennych, a 5 384 000 Polaków padło ofiarą hitlerowskiej akcji eksterminacyjnej, mającej na celu biologiczne wyniszczenie narodu polskiego.

Oświęcim, Majdanek, Chełmno, Gross-Rosen, Stuttgart, Treblinka, Bełżec, Sobibór i szereg innych obozów koncentracyjnych były miejscami męczeństwa i śmierci milionów obywateli polskich.

Straty globalne są znaczne, ale w wielu wypadkach szczegółowych jesteśmy w stanie określić tylko w przybliżeniu liczbę zamordowanych.

Dokumenty komendantury obozu Gross-Rosen nie zachowały się. Jedni twierdzą, że wszystko zniszczyło specjalne komando utworzone dla zatarcia śladów zbrodni, inni są przekonani, że dokumenty i zrabowane więźniom kosztowności zostały załadowane do skrzyń i wywiezione w nie znanym kierunku. Zostało kilkanaście kartek, spisów, strzępów, które nie mają praktycznego znaczenia w ustaleniu liczby ofiar.

Zdzisław Łukasziewicz w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” stwierdza, że przez obóz przeszło około 125 tysięcy więźniów, z czego przeszło 40 tysięcy straciło tam życie. Za Łukasziewiczem liczbę tę podaje także Szymon Datner oraz *Wielka encyklopedia powszechna* \*.

Antoni Gładysz w swych wspomnieniach pt. *Obóz śmierci* pisze: „Byli wśród nas tacy, którzy prowadzili ewidencję trupów wywożonych z obozu na spalenie. Twierdzą oni, że ogółem przekazano ich tam 180 000.

---

\* Z. Łukasziewicz, *Gross-Rosen*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce”, 1956, t. VIII, s. 102. Datner, op. cit., s. 173. *Wielka encyklopedia powszechna*, Warszawa 1964, s. 438.

Prócz tego przychodziły z różnych stron transporty wprost do krematorium”.

Mieczysław Mołdawa w publikacji *Gross-Rosen, obóz koncentracyjny na Śląsku* przeprowadza dość skomplikowane obliczenia w celu ustalenia ilości ofiar i konkluduje: „Wliczając straty poniesione podczas ewakuacji więźniów i egzekucji osób nie numerowanych, szacunkowa dotychczas liczba ofiar Gross-Rosen, około 100 000, jest realna. Przyjmując bowiem ogólną liczbę numerów dawanych więźniom 114 000 kolejnej numeracji i 40 000 do 50 000 użytych powtórnie oraz numerację tzw. *Erziehungshäftlinge*\*, mogło przejść bramę obozu ogółem około 160 000—180 000 więźniów”.

Więzień Tadeusz Mroziewicz w zeznaniu złożonym 10 III 1947 r. przed Sądem Grodzkim w Bytomiu stwierdza: „Gdy przybyłem do obozu, w centralnym obozie było około 8000 internowanych, nie licząc obozów pracy, gdy zostałem zaś pisarzem, miałem dostęp do kartotek i stwierdziłem, że łączny stan obozu pod koniec roku 1944 wynosił około 93 000 internowanych. Sądząc po numerach, którymi byli zaopatrzeni internowani, przez obóz przewinęło się około 180 000 internowanych\*\*.

Więzień Wincenty Szczepaniak, przesłuchany w charakterze świadka przez Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Katowicach 22 IV 1947 r., oświadcza: „Z racji tego, że w obozie pracowałem jako pomocnicza siła pisarska przy kartotekach i do obowiązków moich należało między innymi wyksięgowanie zmarłych, stwier-

---

\* Więźniowie skierowani do obozu celem odbycia krótkoterminowych kar. Posiadali odrębną numerację. Ilość ich nie przekroczyła 5 tys.

\*\* Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. 247 ob.

dzić mogę z całą stanowczością, że łączna ilość więźniów zamordowanych i zmarłych skutkiem braku pomocy lekarskiej i wycieńczenia wynosiła przeciętnie dziennie 70—100, przy czym ilość ta zwiększała się w wypadkach masowych egzekucji. Egzekucje te obejmowały często 12—50 osób, przy czym wykonywane były na zarządzenie politycznego oddziału SS” \*.

Biorąc pod uwagę materiały Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, jak również relacje byłych więźniów obozu, można przyjąć, że w Gross-Rosen zginęło około 100 000 więźniów, a przez obóz przeszło około 160 000—180 000.

Po ewakuacji więźniów i ucieczce ostatniej grupy esesmanów ocalałe baraki i budowle obozu Gross-Rosen w ciągu dwu lat stały pustką.

Powszechna nienawiść do Niemców przeniosła się w jakimś sensie na miejsca, gdzie popełniali zbrodnie. Przykładem może być obóz na Majdanku. Mieszkańcy Lubelszczyzny zdemolowali niektóre urządzenia obozu, rozebrali częściowo budynki i zniwelowali teren. Na miejscu kaźni usypano kopiec, który miał być symbolem zbiorowej mogiły pomordowanych. Na terenie obozu posadzono drzewa. W dziesięć lat później, gdy las zaczął już szumieć, przyszedł czas refleksji. Krajobraz był zbyt sielski, zbyt spokojny, by pobudzać wyobraźnię i przypominać koszmarną przeszłość. Dlatego też wycięto młody zagajnik, ogrodzono teren i zrekonstruowano część baraków.

Drugą przyczyną, dla której starano się zapomnieć o miejscach kaźni, była powszechna chęć powrotu do normalnego życia. Wolność nie przyszła równocześnie

---

\* Tamże.



z biciem dzwonów. Oto jak wspomina jej nadejście do obozu w Litomierzycach Antoni Gładysz:

„Wyniesiono na plac apelowy stół i krzesła. Zjawiono się w komplecie SS, gestapo i komenda. Na czoło tej grupy wysunął się w końcu nie komendant, nie lagerführer, lecz smarkaty siepacz z oddziału politycznego. Już mu podano krzesło, już wgramolił się na stół, widocznie zamierza «eine Rede halten». Na placu apelowym hałas, mało kto zwraca uwagę na młodzieńca, w ogóle z dyscypliną było nietęgo. Młodzik na stole śmiesznie wyglądał w wysokich butach, w czapce na głowie, z bronią u boku. I śmiesznie gestykulował prosząc o ciszę. [...] Kiedy się wreszcie uciszyło, dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła i że od tej chwili przestajemy być więźniami. Odpowiedzieliśmy okrzykami: «Brawo, brawo» i klaskaniem w ręce. Niemądra to była reakcja. Ale wiadomość, choć długo oczekiwana, spadła na nas tak znieca, że swą wielką radość zdolni byliśmy wyrazić tylko w tak niewydarzony sposób”\*.

Trzeciego dnia od ogłoszenia w obozie „wolności” wyszli za bramę obozu. Był ósmy maja, piękny, słoneczny dzień.

„Szliśmy na przełaj, miedzami, ponieważ dowiedzieliśmy się, że czeska milicja poobsadzała drogi i ścieżki i stara się więźniów internować. Dwukrotnie natknęliśmy się na milicjantów, na szczęście byli w pojedynkę i po czesku dobroduszni. Zapewniali nas, że w obozach otrzymamy ubranie, żywność, wygodne łóżka i tak dalej, ale już sama nazwa «obóz» działała na nas jak czerwona płachta na byka, a poza tym śpieszyło nam się do domu”\*\*.

Ten zrozumiały pośpiech do domu i rodzin, do spraw

---

\* Gładysz, op. cit., s. 286, 299.

\*\* Tamże.

życia i radości dnia jutrzejszego sprawił, że odwracano się od spraw śmierci. Ważniejsze było oranie pól, sianie pszenicy na jutrzejszy chleb niż troska o miejsce zbrodni.

Wszystko to spowodowało, że w barakach obozu Gross-Rosen przez dwa lata hulał wiatr — jeśli nie brać pod uwagę kilku miesięcy 1945 roku, kiedy obóz był miejscem przejściowej koncentracji niemieckich jeńców wojennych. W roku 1948 dzięki staraniom specjalnej komisji lustracyjnej, utworzonej przez byłych więźniów, teren został zabezpieczony. Opiekę nad obozem objęły władze Związku Byłych Więźniów Politycznych w Świdnicy, następnie zaś oddział Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W latach 1950—1953 na miejscu wysadzonego krematorium wzniesiono pomnik więźniów Gross-Rosen i mauzoleum, w którym złożono prochy byłych więźniów. W roku 1958 otwarto pierwszą, skromną ekspozycję muzealną.

W roku 1960 dzięki staraniom Związku Bojowników o Wolność i Demokrację we Wrocławiu i Świdnicy przeprowadzono w obozie prace porządkowe. Po ich ukończeniu odbył się we wrześniu tego roku I Ogólnopolski Zjazd b. Więźniów Gross-Rosen. Na terenie obozu zebrały się tysiące mieszkańców ziemi dolnośląskiej, by złożyć hołd pamięci pomordowanych. Nad sztolniami kamieniołomu rozległy się słowa apelu poległych:

„Ocaleli byli więźniowie tej kaźni! Wy, którzy tu dziś przybyliście, by dopełnić przyrzeczenia danego pogasłym tu współtowarzyszom, że jeśli przeżyjecie, dacie świadectwo ich mękom i bohaterstwu, z jakim znosili te męczarnie!

Drodzy Towarzysze niedoli obozowej, którzy przeżyliście te bestialstwa hitlerowskich zbrodni, którzy zachowaliście godność człowieka, którzy nieśliście ulgę cierpiącym, którzy wierzyliście w nadejście dnia

wyzwolenia i zwycięstwa, w sprawiedliwość dziejową!

Współtowarzysze przeżytych tu męczarni i zbrodni, gdziekolwiek jesteście na świecie, którzy w tamtych dniach beznadziejnego konania nie zatraciliście wiary w odrodzenie biologiczne niszczonej Ojczyzny!

Przeszło stutysięczna rzeszo więźniów Gross-Rosen i jego filii, synowie dwudziestu narodów Europy, którzy, zamęczani pracą i głodem, zimnem i straszliwymi chorobami, ginęliście z pogardą dla faszystowskich oprawców!

Wzywamy Was do apelu!"

Tysiące ludzi z odkrytymi głowami w uroczystym skupieniu oddawało hołd poległym tutaj Polakom, Rosjanom, Ukraińcom, Białorusinom, Łotyszom, Litwinom, Estończykom, Czechom, Słowakom, Jugosłowianom.

Apel wzywał Albańczyków, Bułgarów, Węgrów i Rumunów, Niemców, Austriaków i Francuzów, Belgów, Holendrów i Duńczyków, Norwegów, Greków, Włochów, Żydów i Cyganów. Wzywał oficerów Armii Czerwonej i lotników alianckich spalonych w krematorium.

„Wzywamy Was, którzy ukochanie wolności Śląska i walkę o jego polskość przypłaciliście śmiercią w tym obozie, nie mogąc długo wytrzymać po więzieniach gestapo w Strzelcach Opolskich, Pszczynie, Szczecinie i Raciborzu, po kazamatach Cieszyna i Bogumina, Wrocławia i Berlina!

Zginęli śmiercią męczeńską! Cześć ich pamięci!

Wzywamy Was, którzy po krwawych badaniach na Pawiaku, Montelupich, Żabikowie, Radogoszczy, więzieniach tarnowskich i radomskich, po więzieniach lwowskim i grodzieńskim, wileńskim i kieleckim, zakończyliście swe życie tutaj! Was, którzy w transporcie

ewakuacyjnym w Litomierzycach, Dorze i innych obozach śmierci masowo umieraliście!

Wzywamy Was, wszystkich męczenników, którzy ginęliście katowani i wpędzani na druty, na warty esesmanów, którzy ginęliście zaszczuci psami! Was, zamordowanych zastrzykami fenolu i benzyny! Was, którzy ginęliście na szubienicach! Was wzywamy, którzy po nadludzkim wyczynie wydostaliście się z obozu na wolność, a wracali pędzeni przez zwyrodniałą ludność okoliczną, nauczycieli i «Hitlerjugend», złowieni w obławie jak dzikie zwierzęta, zaszczuci — by próbę uzyskania wolności opłacić śmiercią w torturach!

Zginęli śmiercią męczeńską! Cześć ich pamięci!

Wzywamy Was, którzy w dniach upalnych, mroźnych nie do zniesienia szli dobrowolnie na linię samobójczą postów, czekając z godnością na strzał esesmana! Was wzywamy, te setki więźniów zawisających na drutach obozu czy przekraczających strefę strzału! Was, walczących o życie do ostatka i pokonanych przez piekło grossroseńskie! Was, którzy tak chcieliście żyć dla swoich bliźnich, cofając się po kilkakroć przed karabinem i licząc raz jeszcze na szansę przetrwania! Was wszystkich wzywamy tu do nas na świadków — dla tych sądów niemieckich i dla tych mecenasów atomowego odwetu, którzy negują bądź tłumaczą fakt zaistnienia tak potwornych miejsc koncentrowania ludności podbitej!

Wierzymy, że ofiara Wasza nie była daremna. Hitle-ryzm został rozbity pod druzgocącymi uderzeniami Armii Czerwonej i Odrodzonego Wojska Polskiego! Śląsk — wrócił do macierzy!

Wasze prochy, jak większość Was tak wierzyła, przepowiadała, są na polskiej ziemi, na ziemi, która najdłużej wytrzymała napór germanizacji. Wasze prochy

wraz z dymem krematoryjnym pokryły pola śląskie. To miejsce ostatniej drogi Waszej oddajemy mieszkańcom Śląska w opiekę i ku pamięci młodym pokoleniom, tu zrodzonym, by wiedzieli, jak wysoka jest cena ich wolności!"\*

---

\* Jednodniówka okolicznościowa Klubu b. Więźniów Gross-Rosen z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej, Warszawa, kwiecień 1967, s. 43, 45, 46.

## SPIS TREŚCI

Powstanie i organizacja obozu . . . . .	5
„Arbeit macht frei” . . . . .	27
Mordercy . . . . .	43
Przemoc i śmierć każdego dnia. . . . .	59
Epidemie i eksperymenty . . . . .	85
Ruch oporu . . . . .	97
Ewakuacja . . . . .	109
Apel poległych . . . . .	117

Redaktor: Matylda Remiszewska

Okladkę i strony tytułowe projektował Wł. Terechowicz

Strony rozdziałowe opracował Mieczysław Wasilewski

Fotografie: Archiwum GKBZHWP, CAF, A. Fleischer,  
St. Fronczak, M. Mołdawa

Copyright by „Książka i Wiedza”, 1970  
Warszawa, Poland

Korektorzy: M. Orzechowska i F. Szczerbiak  
Redaktor techn.: Z. Borowski

„Książka i Wiedza”, Warszawa, wrzesień 1970 r.

Wydanie I. Nakład 29 740 + 260 egz.

Papier: offset., kl. III, 80 g, 82 × 104 cm

Obj. ark. wyd. 6,7. Obj. ark. druk. 8(6,5)

+ 1 ark. wkładek rotograwiurkowych

Oddano do składania 16 IV 1970 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1970 r.

Druk ukończono w sierpniu 1970 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Warszawa, ul. Miedziana 11/13

Zam. nr 3341/70. K-53. Cena zł 12.—

Siedem tysięcy osiemset osiemdziesiąta  
publikacja „KiW”

**GROSS-ROSEN** – obóz koncentracyjny założony został w sierpniu 1940 r. na zboczu wzgórza, około 60 km na zachód od Wrocławia, w powiecie świdnickim. Nazwę przejął od najbliższej, odległej o 2 km na północ wsi Dzisiaj wieś ta nazywa się Rogoźnica, ale niemiecka nazwa obozu pozostała w pamięci setek tysięcy ludzi. Gross-Rosen to jeden z najcięższych obozów koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy – miejsce kaźni Polaków, Rosjan, Francuzów, Anglików, Czechów, Niemców, Żydów, Włochów i więźniów innych narodowości. Przez obóz przeszło około 180 000 więźniów, około 100 000 zginęło w samym obozie, w kamieniołomach i licznych filiach. Mordercze tempo pracy, głód i bestialstwo esesmanów powodowały wysoką śmiertelność.

Od początku swego istnienia obóz ulegał ciąglej rozbudowie. W ostatnim okresie wojny, gdy wyzwolono Majdanek, a Oświęcim znalazł się w strefie przyfrontowej, Gross-Rosen miał przejąć zadania tych kombinatów śmierci. Tempo ofensywy radzieckiej było jednak tak szybkie, że wagony z ładunkiem oświęcimskich pieców krematoryjnych nie dotarły do miejsca przeznaczenia. W połowie lutego 1945 r. Armia Radziecka wyzwoliła obóz.